

JACK

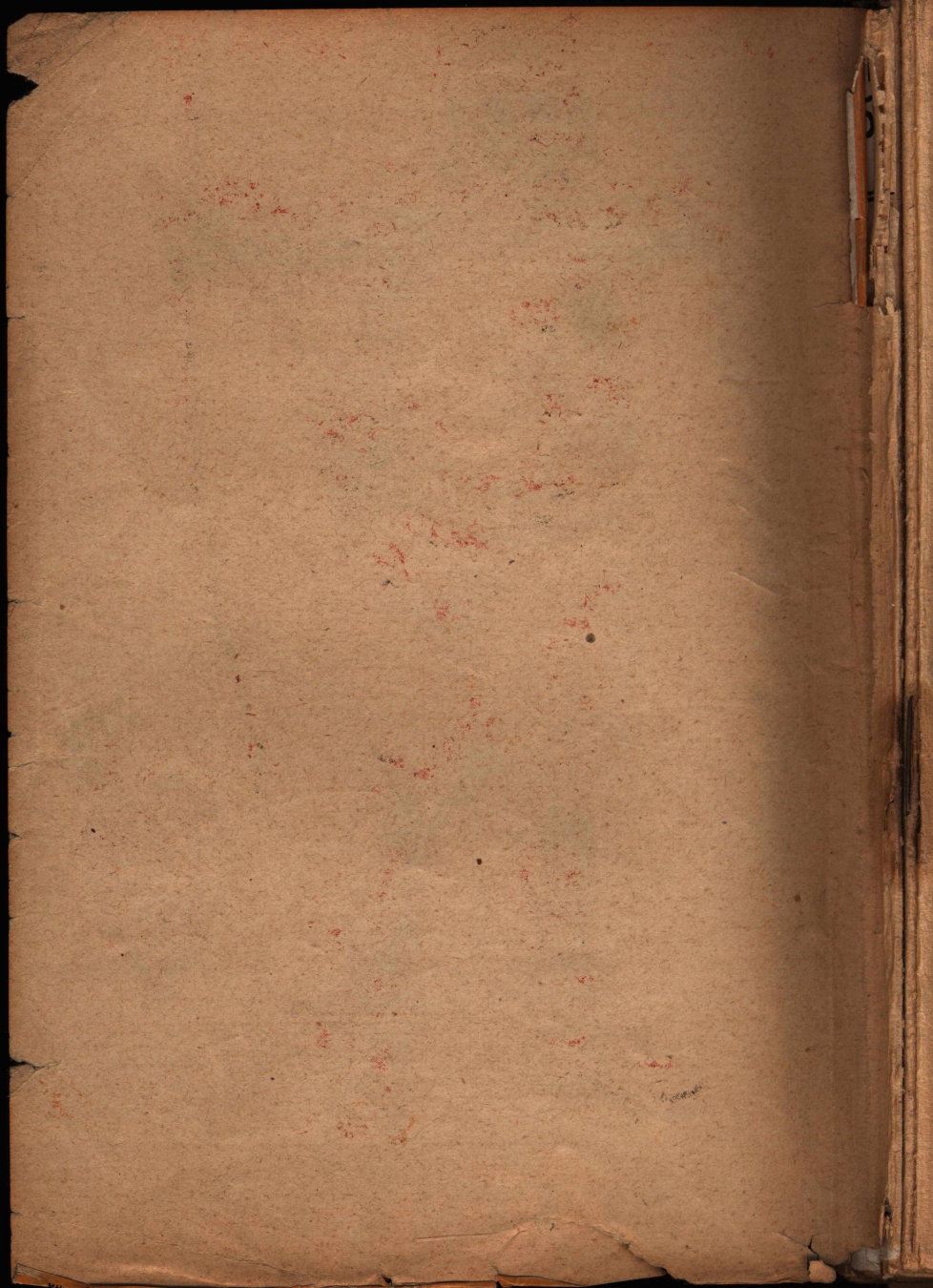
LONDON



J. NORBLIN.

WZKARŁATNA DŻYMA

FOTO-LIT. A. ODUBCZYK. WARSZAWA



90
OPŁATA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.

SZKARŁATNA DZUMA

Opł. 10

L. Chruszczowski
7/11

Nr 510

Polskie Towarzystwo
Księgarni Kolejowych
„RUCH”
Spółka Akcyjna

BIBLIOTEKA POWIEŚCIOWA

REDAKTOR MARJAN KISTER

PRENUMERATA KWARTALNA (WRAZ
Z BIBLIOTEKĄ HISTORYCZNO-GEO-
GRAFICZNĄ

RAZEM 12 TOMIKÓW
WRAZ Z PRZESYŁKĄ

4 zł. 95 gr.

ŻĄDAĆ WYSYŁANIA SZCZEGÓ-
ŁOWYCH PROSPEKTÓW GRATIS.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“
WARSZAWA, UL. KREDYTOWA № 1.

KONTO P. K. O. 9880.

JACK LONDON

SZKARŁATNA DŻUMA

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY
STANISŁAWY KUSZELEWSKIEJ

W A R S Z A W A — 1 9 2 7

NAKŁADEM TOW. WYDAWN. „RÓJ”

*Lehmannsberg
Kleinre 7/10-1927.*

OKŁADKA PROJEKTU S. NORBLINA,
ODBITO 10.000 EGZ. W ZAKŁ.
DRUK. F. WYSZYŃSKI
i S-ka WARSZAWA,
WARECKA 15
W MAJU
1927.

*Prawa do dzieł Londona na Polskę są wyłączną
własnością tłumaczką niniejszej książki. Przekłady
nieuprawnione ścigane będą sądownie.*

I.

Droga wiodła wzdłuż tego, co było ongiś nasypem kolejowym. Lecz od lat wielu nie przeszedł tędy żaden pociąg. Las z obu stron wspiał się na boki usypiska i skrzyżował ponad niem zieloną falę drzew i krzewów. Ścieżka była wąska jak ciało człowieka, chociaż służyła raczej krokom zwierzyny. Widny niekiedy z pośród traw i mchu kawał zardzewiałego żelaza, wskazywał, że szyny pozostały jeszcze. W jakimś miejscu, spore drzewko, wytrysnę na ich złączeniu, uniosło ku górze jeden koniec żelaziwa. Podkład poszedł był widocznie wślad za szyną, przybity do niej gwoździem dziś już nieistniejącym, lecz dość wielkim, by w jego pustem łożysku zebrał się piach i zgniłe liście. Spróchniałe drewno sterczało bezsilnie dziwnie.

Lecz nawet te skąpe szczątki świadczyły wyraźnie, że kolej musiała być ongiś typu jednoszynowego.

Ścieżyną wędrowali starzec i chłopiec. Posuwali się wolno, starzec był bowiem bardzo sędziwy. Ruchy drżących nóg, wspieranych kijem, zdradzały już pierwsze dotknięcie paraliżu. Prostacza czapa z kozłej skóry chroniła głowę przed słońcem. Z pod czapy zwisały kudłate wiechcie brudno-białych włosów. Daszek sklecony pomysłowo z szerokiego liścia, osłaniał oczy i ułatwiał badanie drogi. Broda, spadająca aż do pasa skłębionymi smugami, byłaby zapewne śnieżno biała, gdyby nie dymy ognisk i igraszki pogody. Z ramion i piersi zwisał skąpy kawał kozłej skóry. Ręce i nogi, o skórze zniszczonej i spalonej, pełnej zmarszczek i blizn, zdradzały wiek nader podeszły oraz długie lata walki z żywiołami natury.

Chłopak, idący naprzód i hamujący sprawność młodych mięśni ku powolnym krokom starca, odziany był również w pojedynczy kawał skóry niedźwiedziej, poszar-

panej na końcu i rozciętej u góry w spory otwór dla głowy. Nie mógł mieć chyba więcej nad lat dwanaście. Zatknięty za uchem, telepał mu się kokieteryjnie świeżo obcięty ogon prosiaka. Młodzik niósł w rękę średniej wielkości łuk i strzałę, na plecach zaś kołczan pełen strzał. Z pochwy, zawieszanej na plecach u szyi wystawała zniszczona rękojeść myśliwskiego noża. Chłopak brązowy był jak orzech i stąpał ostrożnie, z lekkością nieomal kocią. Jaskrawy kontrast ciemnej skóry stanowiły oczy — niebieskie, mocno niebieskie, lecz czujne i tak ostre, jak para świdrów. We wszystkim co napotkały, zdawały się wiercić natychmiast i nieodzownie. Idąc, węszył bez przerwy, a rozdęte, drżące nozdrza, zdawały się nieść jego mózgowi niezliczone wieści ze świata. Słuch miał też wyostrzony nierzem nóż i działający z automatyczną sprawnością. Bez świadomego wysiłku chwycił uchem najłżejszy dźwięk w pozornej ciszy, chwycił, oddzielał i rozróżniał — czy to wiatr szeleści liśćmi, czy brzęczą pszczoły lub komary,

czy w oddali gra echo morza, bijącego sennie o brzeg, czy też kret, tuż pod nogą, szufluje ziemię u wejścia do swej norki.

Nagle chłopak nastroszył się czujnie. Dźwięk, obraz, widok i woń przesłały mu równocześnie ostrzeżenia. Mała ręka sięgnęła wstecz i dotknęła starca. Obaj przystanęli. Przed nimi, z jednej strony nasypu, rozległ się suchy trzask. Chłopiec utkwił oczy w wierzchołkach rozkołysanych krzaków. W parę sekund później, ogromny bury niedźwiedź, wylazł z trzaskiem z gęstwiny i dostrzegłszy ludzi zatrzymał się równie nagle jak owi ludzie. Ryknął groźnie — nie lubił tych stworzeń. Chłopak z wolna przyłożył strzałę do łuku i z wolna napinał cięciwę. Żrenic nie spuszczał z niedźwiedzia. Starzec spojrział w oczy niebezpieczeństwu z pod swego zielonego listka i stanął nieruchomo, jak chłopak. Przez kilka chwil trwało wzajemne badanie się stron; wreszcie niedźwiedź okazywać począł rosnące zniecierpliwienie, chłopak zaś ruchem głowy nakazał starcowi, żeby ustąpił z drogi i zszedł z nasypu. Chłopak cof-

nał się również, wciąż trzymając łuk w napięciu i gotowości. Czekali aż trzask gałęzi po drugiej stronie nasypu da znać, że niedźwiedź się cofnął. Chłopak skrzywił się w uśmiechu, wracając na nasyp.

— Duża bestja, Dziadku! — mruknął. Stary pokiwał głową.

— Niedźwiedzie grubieją z każdym dniem — żalić się począł cienkim, jakby niezależnym od niego samego, falsetem. Ktoby pomyślał że ja dożyję czasów, kiedy człowiek może się znaleźć w niebezpieczeństwie życia na drodze do Cliff House. Kiedy byłem małym chłopcem, Edwin, mężczyźni, kobiety i dzieci przyjeżdżali tu setkami i tysiącami z San Francisco na spacer przy pięknej pogodzie. Nie było tu żadnych niedźwiedzi. Nie, mój panie. Płacono pieniądze zato, żeby zobaczyć niedźwiedzia w klatce — taką były rzadkością.

— Coto jest „pieniądze“, Dziadku?—Zanim starzec zdążył odpowiedzieć, chłopak coś sobie przypomniał, sięgnął ręką pod niedźwiedzią skórę i z ukrytej tam zapew-

ne kieszeni wyjął zniszczony i brudny dolar srebrny. Oczy starca zaśniły, kiedy podniósł ku nim monetę.

— Nie widzę — mruknął. — Ty zobacz jaka data, Edwin.

Chłopak parsknął śmiechem.

— Ty jesteś zabawny Dziadku! — wołał rozbawiony — zawsze ci się wydaje że te znaki coś wyrażają. Twarz starca zasępiła się zwykłą troską, kiedy podniósł znowu monetę do własnych, słabych źrenic.

— 2012 — zakał i bełkotać począł jakieś dziwaczne rzeczy: — To rok, w którym Morgan Piąty wybrany został z partii Magnatów na Prezydenta Stanów Zjednoczonych. To jedna z ostatnich odbitek, bo Szkarłatna Śmierć nadeszła w roku 2012. Boże! Boże! Pomyśleć tylko! Dopiero sześćdziesiąt lat minęło od tego czasu — i już tylko ja jeden pozostałem na świecie z pośród tych, którzy żyli wówczas, Gdzie znalazłeś to, Edwin?

Chłopak, który przyglądał się dziadowi z pobłażliwą ciekawością, jakiej się udzie-

łać zwykło istotom niespełna rozumu — odpowiedział natychmiast.

— Dostałem od Hoo-Hoo. On znalazł, koło San José, kiedy tam pogonił kozy zeszłej wiosny. Hoo-Hoo powiedział że to „pieniądz“. Nie głodny jesteś, Dziadku?

Stary mocniej ujął łaskę i przyśpieszył kroku. Oczy błysnęły mu pożądliwie.

— Mam nadzieję że Zajęcza Warga złowił kraba... może nawet dwa kraby — wybełkotał. — Kraby to dobre jedzenie, doskonale jedzenie, kiedy się już nie ma zębów, ale za to ma się wnuków, którzy kochają swego dziada i starają się łowić dla niego kraby. Kiedy byłem chłopcem...

Lecz Edwin stanął jak wryty; dostrzegł coś widocznie, bo gwałtownie napiął cięciwę łuku na gotową strzałę. Zatrzymał się na brzegu wyrwy w nasypie.

Wymyśl ją jakiś dawny nurt podziemny, teraz zaś, nie kryjąc się już dłużej, rłynął tędy maleńki strumyczek. Po przeciwnej stronie wystawał i zwisał koniec szyny. rdzawiący się pośród bujnej zieleni. Nad szyną, kucnął pod krzakiem królik i cały

drżący z niepewności, spoglądał ku ludziom. Odległość wynosiła pełne pięćdziesiąt stóp, lecz strzała śmignęła celnie. Przeszyty królik, skamłąc z bólu i strachu, próbował całym wysiłkiem wypełnić wgląd krzaku. Chłopak — jak błyskawica bronzowej skóry i polotnego futra — rzucił się w wyrwę i wspiał na jej drugą stronę. Jego suche mięśnie były niczem stalowe sprężyny, które zmiękły nagle we wdzięcznym a łatwym ruchu. O sto kroków dalej w gąszczu krzewów, chłopak schwycił królika, roztrzaskał mu łeb o wygodny po temu pień i podał zdobycz dziadkowi, żeby ją niósł.

— Królik jest smaczny, bardzo smaczny — mamlał starowina — ale kraby są delikatesem dla starych zębów. Kiedy byłem chłopcem...

— Dlaczego mówisz tyle rzeczy, które nie mają sensu? — Edwin przerwał niecierpliwie nudny belkot.

Właściwie chłopak nie wypowiedział tych właśnie słów, tylko szereg dźwięków podobnych, lecz bardziej gardłowych, po-

szarpanych i oszczędnych. Mowa jego przypominała nieco mowę starca, ta ostatnia zaś była językiem angielskim, zniekształconym przez pospolitość użycia.

— Chciałbym wiedzieć — ciągnął Edwin, — dlaczego nazywasz kraby „delikatesami”? Krab jest krabem — no czyż nie? Nigdy nie słyszałem, żeby inni mówili takie głupstwa.

Stary westchnął, ale nic nie odpowiedział i dalej szli w milczeniu. Przypływ zahuczał głośnie, gdy wyszli z lasu na piaszczyste ławice, okalające morze. Po skąpych wzgórkach wałęsało się kilka kóz, strzeżonych przez chłopaka, odzianego w skóry i przez wilczara psa, zlekka tylko przypominającego owczarka. Z rykiem przypływu mieszało się gardłowe, ochrypłe poszczekiwanie dochodzące z pośród zwału poszarpanych skał, wzniesionych w morzu, o dobre sto jardów od brzegu. Ciskały tam swe cielska wielkie lwy morskie, grzejące się w słońcu lub zabawiające bójką. Na przednim planie wyrastał

słup dymu z ogniska, podsycanego przez trzeciego chłopaka - dzikusa.

Starowina przyspieszył kroku, pochrapując łakomie na widok ogniska.

— Muszle! — bełkotał w zachwycie. — Muszle! a czyż to nie krab, Hoo-Hoo? Czyż to nie krab? Aj, aj, chłopaki są dobre dla swego starego dziadka.

Hoo-Hoo, mający zapewne tyleż lat co Edwin, wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

— Ile tylko zechcesz, Dziadku. Złapałem cztery. Uszczęśliwiona skwapliwość starowiny była godna litości. Usiadł tak szybko, jak tylko pozwoliły sztywne kolana i chwycił dużą muszlę skalną z pomiędzy węgla ogniska. Muszla rozwarła się od gorąca i różowawe mięso jej wnętrza było teraz napół ugotowane. Stary, drżąc z pośpiechu, chwycił przysmak w dwa palce i niósł do ust. Ale ślimak był za gorący i w następnej chwili został równie gwałtownie odrzucony. Starowina aż krztusił się z bólu, i łzy spływały mu po policzkach.

Chłopcy byli prawdziwymi dzikusami,

obdarzonymi okrutnem poczuciem humoru dzikich ludzi. Wypadek starego wydał im się tak szalenie zabawny, że wybuchnęli głośnym śmiechem. Hoo-Hoo tańczył i pódskakiwał, Edwin tarzał się po piasku. Pastuszek kóz biegł co miał sił, żeby przyłączyć się do uciechy.

— Wyjmij je z ognia, Edwin i, połóż na ziemi — zatroszczył się stary, pośród swej rozpaczey zapomniawszy nawet o otarciu łez. — Ochłódź też kraba, Edwin, ochłódź kraba. Wiesz, że dziadek lubi kraby.

Pośród węgla rozległ się wielki syk. To muszle rozwarły się wszystkie naraz i wilgoć kapać z nich zaczęła na żar. Były to wielkie muszle, „rybne muszle“, długości trzech do sześciu cali. Chłopcy wypchnęli je kijami z ogniska i położyli ostrożnie na dużym kawałku drzewa, wyrzuconym przez fale.

— Kiedy byłem małym chłopcem, dzieci nie miały zwyczaju wyśmiewać się ze starszych — szanowały starszych.

Chłopaki nie zwróciły na te słowa najmniejszej uwagi, starowina zaś bełkotał

dalej całą litanję skarg i osądów. Lecz tym razem był już ostrożniejszy, i nie poparzył ust. Wszyscy zabrali się do jedzenia, używając do tej czynności palców i głośno mlaskając językiem i wargami. Trzeci chłopak, zwany Zajęczą Wargą, chytrze wysypał garstkę piasku do muszli, którą dziadek właśnie podnosił do ust; kiedy zaś twardy zwirek kasać począł bezzębne dziaśła starego — malcy pokładali się ze śmiechu. Dziadek nie wiedział że z niego żartowano, odchrząkiwał więc i spluwał, dopóki Edwin, uspokoiwszy się na chwilę nie podał mu tykwy z wodą, żeby przepłukał usta.

— Gdzież są kraby, Hoo-Hoo? — zagadnął Edwin. — Dziadek szykował się na ucztę.

Oczy starowiny znowu zapłonęły chciwością, kiedy podano mu dużego kraba. Skorupa i nogi były napozór nienaruszone, ale całe mięso dawno zostało wyjęte. Drżącymi palcami, bełkocąc z łakomstwa, starowina odłamał jedną nogę — ale przekonał się że jest pusta,

— Kraby, Hoo-Hoo? — zaskamlał. —
Kraby?

— Nabierałem, dziadku. Niema krabów.
Nie znalazłem.

Chłopców ogarnęła niepohamowana radość na widok leż gorzkiego zawodu, spływających po twarzy staruszka. Potem, Hoo-Hoo niespostrzeżenie położył na miejscu pustej skorupy świeżo ugotowanego kraba. Rozczłonkowane niezwłocznie, stało białe, przeprażone mięso obłok smakowitej, wonnej pary.

Uderzyła ona w nozdrza starowiny i przyciągnęła też jego oczy. Natychmiast płaczliwy humor zmienił się w niepohamowaną wesołość. Dziadek zachrzakał, zaszeplecił, zamruczał — warczał wprost z rozkoszy pożerania. Chłopcy nie zwrócili na to najmniejszej uwagi, był to bowiem widok zwykły. Nie zauważyli też urrywanych wykrzyków i poszarpanych zdań, rzucanych przez starego podczas jedzenia. Nie rozumieli bowiem o czem mówił właściwie. „Sos majonezowy! Pomyśleć tylko — sos majonezowy! Od sześćdziesięciu lat nie

przyrządzano go już na świecie! Dwa pokolenia już go nie kosztowały. A w tamtych czasach podawano go do homara w każdej restauracji”.

Kiedy nie mógł już jeść więcej — starowina, wytarł ręce o nagie uda i zapatrzył się w morze. Wraz z zadowoleniem pełnego żołądka — napływały wspomnienia i skłonność do rozrzewnień.

— Pomyśleć tylko! Widywałem tę samą zatokę pełną ludzi! Pełną mężczyzn, kobiet i dzieci w każdą pogodną niedzielę. I nie było niedźwiedzi, któreby im groziły. Tu zaraz na tej skale była ogromna restauracja, gdzie mogłeś dostać wszystko coś zapragnął. San Francisco miało wówczas cztery miliony mieszkańców. A teraz, w całej tej okolicy, i na miejscu dawnego miasta nie mieszka więcej nad czterdziestu ludzi. Tu na morzu zawsze widać było okręty — mnóstwo okrętów — wchodzących i wychodzących przez Złote Wrota. Powietrze pełne było aeroplanów, balonów i maszyn latających. Robiły dwieście mil na godzinę. Poczta i komuni-

kacja pasażerska pomiędzy New Yorkiem a San Francisco wymagała tej szybkości jako minimalnej. Był pewien spryciarz, Francuz — zapomniałem nazwiska — który umiał robić po trzysta; ale to zbyt ryzykowna wyprawa dla osób zacofanych. Francuz zresztą był już na dobrej drodze, i przyzwyczajonoby się do tej szybkości, gdyby nie Wielka Zaraza. Kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, żyli ludzie, pamiętający pierwsze aeroplany. A ja przeżyłem ostatni. Ostatni — sześćdziesiąt lat temu. — Starowina paplał dalej, niezachęcany przez chłopców, którzy nawykli już do tych jego gawęd, w których zresztą nie rozumieli połowy słów. Zato mowa starego w tych wspominkach właśnie nabierała cech poprawniejszej angielszczyzny w doborze słów i budowie zdań. Kiedy zaś mówił z chłopcami, wpadał przeważnie w ich żargon.

— Krabów niewiele było w owych czasach — ciągnął staruszek. — Zostały wyłapane, uważano je bowiem za wielki przysmak. Zresztą, wolno je było łowić

tylko przez jeden miesiąc w roku. Teraz mieć można kraby przez cały krągły rok. Pomyśleć tylko! Wolno łowić kraby zawsze i w każdej ilości — i to gdzie? W zatoce Cliff House!

Nagły zamęt pośród kóz porwał chłopów na równe nogi. Psy leżące przy ognisku ruszyły ku swym towarzyszom, gwałtownie warczącym przy stadzie, kozy zaś śpieszyły skwapliwie ku swym opiekonom — ludziom. Z pół tuzina chudych, siwych bestyj wypełzło z poza piaszczystych wzgórz i zbliżało się ku psom. Edwin wypuścił strzałę, która nie doleciała. Zato Zajęcza Warga wyrzucił ku napastnikom kamień z takiej samej procy, z jaką Dawid wyszedł był przeciw Goljatowi. Kamień gwizdnął w szybkim locie i padł prosto w stadko wilków, zmuszając je do cofnięcia się w ciemną głąb eukaliptusowego gaju.

Chłopcy roześmieli się i legli znowu spokojnie na piasek, starowina zaś wzdychał zamyślony. Zjadł za dużo. Teraz więc tylko skrzyżował ręce na brzuchu i przeplótłszy palce, gaworzył dalej.

— „Wszystko jest marność, puch i wiatru gonienie” — zamruczał coś, co widocznie było cytata. Tak jest, „puch i wiatru gonienie”. Cała praca ludzi na tej kuli ziemskiej była również tylko wiatru gonieniem. Oswoili jedne zwierzęta, wytępilli inne, oczyszczili ziemię z dzikiej roślinności. Wreszcie — przeminęli sami. Wtedy potok pierwotnego życia buchnął znowu i zmiotł precz dzieła rąk ludzkich; zielska i puszcze zarosły polą, drapieżne zwierzęta wróciły na dawne leża i oto wilki przechadzają się nad podmiejską zatoką Cliff House. — Oszło miła go własna myśl. — Tam gdzie mieszkało cztery miliony ludzi — wyją dziś wilki i dzicy potomkowie cywilizacji bronią się zapomocą najpierwotniejszych narzędzi przed napadami uzębionych drapieżców. Pomyśleć tylko! I wszystko przez Szkarłatną Śmierć“.

Przymiotnik wpadł w ucho chłopca, zwanego Zajęczą Wargą.

— On to ciągle powtarza! Co to znaczy „szkarłatna“?

— „Szkarłat klonów wstrząsa mną, niby

okrzyk rogów myśliwskich...—cytował coś starowina.

— Szkarłatny, to znaczy czerwony — odpowiedział Edwin na pytanie Zajęczej Wargi. — Ty o tem nie wiesz, bo pochodzisz ze Szczepu Szoferów. Oni nigdy nic nie wiedzą. Ale szkarłatny, to czerwony — ja wiem.

— Czerwony, to czerwony, może nie? — burknął Zajęcza Warg. — Więc poco robić głupiego i mówić „szkarłatna“?

— Dziadku! Poco zawsze mówisz tyle rzeczy, których nikt nie rozumie? — zapytał. — Szkarłatna, to jest nic, a czerwona, to czerwona. Więc czemu nie powiesz: „czerwona“?

— „Czerwona,“ to nie jest w tym wypadku odpowiednie słowo — brzmiała odpowiedź. — Tamta dzuma była właśnie szkarłatna. Twarz i całe ciało stawało się szkarłatne w przeciągu godziny. Czyż nie wiem? Czyż nie dość tego widziałem? I powiadam wam, że była szkarłatna, no bo była i koniec. Niema na to innego słowa.

— Mnie wystarczy „czerwona” — mruknął uparcie Zajęcza Wargę. — Mój ojciec nazywa czerwone „czerwone,” a on napewno dobrze wie. Mówił, że wszyscy umarli na „Czerwoną Śmierć.”

— Twój ojciec jest sobie pospolitym człowieczyną, pochodzącym od równie pospolitego człowieczyny — wybuchnął dziadek. — Czyż nie znam pochodzenia Szoferów? Dziad wasz, założyciel waszego plemienia był szoferem, sługą, człowiekiem bez wykształcenia. Pracował dla tych, którzy mu płacili. Zato wasza babka była ze znakomitej rodziny, niestety jednak dzieci nie do niej są podobne. Czyż nie pamiętam, jak spotkałem ich poraz pierwszy po katastrofie? Łowili ryby u jeziora Temescal.

— Co to znaczy „wykształcenie”? — zagadnął Edwin.

— To znaczy mówienie „szkarłatne” na to, co jest „czerwone” — zgrzytnął Zajęcza Wargę, poczem znowu zaatakował Dziada. — Mój ojciec mówił, a wiedział to od swego ojca, że twoja żona była

z plemienia Santa Rosa i że bardzo kiego-
sko liczyła. Mówił też, że była „subretką”
przed Czerwoną Śmiercią, chociaż ja nie
wiem, co to znaczy „subretka.” Może ty
wiesz, Edwin?

Ale Edwin potrząsnął głową na znak
nieświadości.

— Tak, to prawda, była kelnerką —
potwierdził Dziadek. — Była jednak prze-
dewszystkiem dobrą kobietą. Wasza matka
jest jej córką. Kobiety były wielką rzad-
kością w owych czasach po Dżumie. Nie
mogłem znaleźć innej kobiety, chociaż ta
była rzeczywiście „subretką,” jak powiada
wasz ojciec. Ale to nie ładnie wyrażać się
lekceważąco o swoich przodkach.

— Ojciec opowiadał, że żona pierwszego
Szofera była „lady.”

— Co to jest „lady”? — zapytał Hoo-
Hoo.

— „Lady” to jest niewolnica Szofera —
brzmiała skwapliwa odpowiedź Zajęcej
Wargi.

— Pierwszym z plemienia Szoferów był
Bill, człek bardzo pospolity, jakem już mó-

wił — tłumaczył staruszek — ale żona jego była wielką damą. Przed Szkarłatną Dżumą była ona żoną pana Van Warden, Prezesa Izby Magnatów Przemysłu, jednego z dwunastu ludzi rządzących Ameryką. Majątek jego oceniano na biljon osiemset milionów dolarów, czyli takich oto monet, jak ta, którą Edwin ma w kieszeni. Aż nagle nadeszła Szkarłatna Śmierć i żona Van Wardena została żoną Billa, szofera. Bijął ją często. Sam widziałem.

Hoo-Hoo, rozciągnięty na brzuchu i leniwie grzebiący w piasku palcami nóg — krzyknął nagle i badać począł najpierw paznokieć wielkiego palca u nogi, potem dołek, wyżłobiony w piasku. Pozostali dwaj chłopcy podbiegli zaraz i ryć zaczęli w piasku pośpiesznie, aż wydobyli na jaw trzy szkielety. Dwa należały zapewne do wyrostków, jeden do małego dziecka. Stary przykuszykał również i przyglądał się znalezionym dziwom.

— Ofiary Dżumy — oświadczył. — Ostatnimi dniami umierali, jak muchy. Gdzie padali, tam konali. To zapewne rodzina,

która chciała uciec od zarazy i zginęła tu, nad zatoką Cliff House. Zapewne... — ale co ty robisz, Edwin?

Pytanie rzucone zostało w nagłym przerażeniu. Edwin bowiem wyluskiwał już za pomocą scyzoryka zęby z wykopanych czaszek.

— Nawlekę te zęby — brzmiała odpowiedź. Chłopcy już świata nie widzieli poza tą robotą. Dłubali, uderzali, łupali — Dziadek zaś mruczał swoje, zupełnie niezauważony.

— Jesteście prawdziwe dzikusy. Znowu zaczyna się zwyczaj noszenia ozdób z zębów ludzkich. W następным pokoleniu poprzekłuwacie sobie nosy i uszy, żeby nosić ornamenty z kości i muszel. Ja wiem. Gatunek człowieczy skazany został raz jeszcze na zejście w ciemną głęb pierwotności, zanim rozpocznie znowu swój krwawy pochód ku cywilizacji. Kiedy się rozmnożymy i odczuwamy brak miejsca, weźmiemy się do zabijania swoich braci. I wtedy zapewne będziemy ozdabiać się skalpami wrogów, jak to już zacząłeś ty, Edwin,

najszlachetniejszy z pomiędzy moich wnuków, zawiesiwszy sobie za uchem ten ohydny ogon świni. Wyrzuc to, Edwin, mój chłopcze, wyrzuc to!

— Co on tam znów miamle ten stary niedojda? — zauważył Zajęcza Warga, kiedy po wyrwaniu ostatniego zęba rozpoczęło się dzielenie zdobyczy pomiędzy zdobywców.

Szybcy byli i gwałtowni w każdej czynności i w każdym słowie, to też mowa ich, w chwilach gorętszej zwady o każdy upragniony ząb, przechodziła w istny bełkot. Mówili wtedy monosylabami i krótkimi szarpanymi zdaniami, które stanowiły raczej gwarę, niż język. A przecież błyskały w niej od czasu do czasu szczątki jakiejś gramatyki i nikle ślady minionej wyższej kultury. Nawet mowa starca tak była zepsuta, że przytoczona dosłownie, wydałaby się czytelnikowi nonsensem. Lecz mówił tak wtedy tylko, gdy zwracał się do wnuków. Kiedy zaś rozpędził się w paplaninie do siebie samego, wsiąkał zwolna i niepostrzeżenie w czystą angielszczyznę.

Zdania stawały się dłuższe i wypowiedane były takim rytmem i tonem, jak wykłady z katedry.

— Opowiedz nam o Czerwonej Śmierci, Dziadku — poprosił Zajęcza Warga, kiedy afera zębowa została zadawalająco ukończona.

— Szkarłatnej Śmierci — poprawił Edwin.

— I nie wylewaj na nas całej swojej dziwacznej mowy — żądał dalej Zajęcza Warga. — Mów z sensem, Dziadku, jak powinien mówić członek plemienia Santa Rosa. Inni nie mówią tak, jak ty.

II.

Staremu oczywiście podobała się prośba wnuków. Odchrząknął i zaczął:

— Dwadzieścia lub trzydzieści lat temu wszyscy pragnęli usłyszeć moje opowiadanie, ale teraz, to jakoś nikogo nie interesuje...

— Już zaczynasz! — krzyknął gniewnie Zajęcza Warg. — Skróć już te głupstwa i odrazu mów po ludzku. Co to znaczy „interesuje”? Mówisz, jak małe dziecko, sam nie wiesz co!

— Zostaw go, daj mu spokój — uspakajał Edwin. — Rozzłości się i wcale nie będzie mówił. Udawaj, że nie słyszysz tych głupich kawałków. Coś niecoś przecież zrozumieemy.

— No, no, zaczynaj, Dziadku — zachęcał Hoo-Hoo, bo staruszek zaczął właśnie

bełkotać coś o braku szacunku dla starszych i o powrocie do okrucieństwa całej ludzkości, która stoczyła się z wyżyn kultury ku prymitywowi życia.

Opowieść rozpoczęła się wreszcie.

— Mnóstwo ludzi żyło w owych czasach na świecie. Samo miało San Francisco miało cztery miliony mieszkańców...

— Co to znaczy „miljony“? — przerwał Edwin.

Dziadek spojrzał ku niemu z dobrocią.

— Wiem, że umiesz liczyć tylko do dziesięciu, ale spróbuję ci wytłumaczyć. Podnieś obie ręce. Na obu masz razem dziesięć palców. Doskonale. Teraz biorę to oto ziarnko piasku — trzymaj je Hoo-Hoo. — Położył ziarnko piasku na dłoni chłopaka. — Patrzcie, niech to ziarnko piasku zastąpi dziesięć palców Edwina. Dodam jeszcze jedno ziarnko. To znaczy jeszcze dziesięć palców. Dodam jeszcze jedno i jeszcze i jeszcze, aż dodam tyle ziarenek, ile Edwin ma palców. Teraz mamy to, co nazywa się „sto.“ Zapamiętajcie to słowo: „sto.“ Teraz kładę ten kamyk na

dłoń Zajęcej Wargi. Niech nam oznacza dziesięć ziarenek piasku, czyli dziesięć razy po dziesięć palców, czyli sto palców. Położę tu dziesięć kamyków. Zastąpią nam one „tysiąc“ palców. Biorę teraz muszlę, która niech nam oznacza dziesięć kamieni, albo sto ziarenek piasku, albo tysiąc palców.

I tak dalej, pracownicy, powoli, z wysiłkiem, walczył stary o zbudowanie w małych mózgach dzikusów elementarnego pojęcia liczby. W miarę wzrostu liczb, kazał chłopcom używać coraz to innych przedmiotów do uplastycznienia rachunku. Rozkładał je na dużym pniu, wyrzuconym przez fale. Wreszcie do milionów musiał biedak użyć zębów z owych wykopanych czaszek, zaś skorup kraba do biljonów. Wreszcie przestał, bo chłopcy okazywać zaczęli znużenie.

— Otóż w San Francisco mieszkało cztery miliony ludzi — cztery zęby.

Oczy chłopców przesunęły się zwolna po zębach, muszlach, kamieniach i ziarnkach piasku aż ku palcom Edwina. I znowu

z powrotem, starając się całym wysiłkiem schwycić wyobrażenie tych niepojętych liczb.

— To... to było bardzo dużo ludzi, Dziadku — zaryzykował wreszcie Edwin.

— Niczem piasku na wybrzeżu, niczem piasku na wybrzeżu, gdyby każde ziarnko było mężczyzną, kobietą lub dzieckiem. Tak, tak, moi chłopcy, całe to mnóstwo ludzi mieszkało tu, właśnie tu, w San Francisco. Od czasu do czasu wszyscy ludzie zbierali się nad tą właśnie zatoką — więcej ludzi, niż piasku. Więcej — więcej — więcej.

San Francisco było wspaniałym miastem. Zaś po drugiej stronie zatoki, gdzie obozowaliśmy zeszłego roku, mieszkało jeszcze więcej ludzi, zaraz za Point Richmond, na płaszczynach i na wzgórzach, przez całą drogę aż do samego San Leandro — drugiego wielkiego miasta, które miało aż siedem milionów mieszkańców. Siedem zębów... ot, tak, połóżcie tu siedem milionów.

Znowu spojrzenia chłopców przesunęły się zwolna tam i z powrotem od palców

Edvina aż ku zębom, leżącym na dużym pniu.

— Świat był pełen ludzi. Spis ludności całej ziemi na rok 2010 dał liczbę ośmiu biljonów, osiem skorup kraba, tak, dobrze, osiem biljonów. Nie tak jak dzisiaj. Ludzkość miała też mnóstwo sposobów zdobywania żywności. I im więcej było żywności, tem więcej rozmnażali się ludzie. W roku 1800 w samej Europie było tylko sto siedemdziesiąt milionów. W sto lat później — ziarnko piasku Hoo Hoo — w sto lat później — w 1900 roku, Europa liczyła już pięćset milionów mieszkańców — pięć ziarenek piasku i ten jeden ząb. To wskazuje jak łatwe było zdobywanie żywności i jak prędko rozradzała się ludzkość. W roku 2000 było już w Europie tysiąc pięćset milionów ludzi. W ten sam sposób działało się na całym świecie. Więc osiem biljonów ludzi — powiadam — tak, osiem skorup kraba — żyło na świecie, kiedy wybuchła Szkarłatna Dżuma.

— Byłem wtedy młodym człowiekiem — miałem dwadzieścia siedem lat; mieszka-

łem po drugiej stronie zatoki San Francisco, w Berkeley. Czy pamiętasz Edvin, te wielkie domy z kamienia, które ci pokazywałem z pagórków Contra Costa? Tam właśnie mieszkalem, w tych domach z kamienia. Byłem profesorem literatury angielskiej.

Niejedno w tych słowach było dla chłopców zupełnie niezrozumiałe, starali się jednak schwytać ile tylko mogli treści z tej historii przeszłości.

— POCO były te domy z kamienia? — pytał Zającza Warga.

— Czy pamiętasz jak ojciec uczył cię pływać? — Chłopak kiwnął głową. — No więc, uważasz, w Uniwersytecie Kalifornijskim (bo tak nazywaliśmy te domy), uczyliśmy młodych mężczyzn i młode kobiety jak mają myśleć. Podobnie jak ja uczyłem was przed chwilą za pomocą piasku, kamieni, muszel i zębów, ilu ludzi było kiedyś na świecie. Mieliśmy dużo do uczenia Ci, których uczyliśmy, nazywali się studentami. Sale do nauki były ogromne. Przemawiałem do kilkudziesięciu studentów naraz, tak jak teraz przemawiam tu do was.

Opowiadałem im o książkach, które napisali inni ludzie kiedyś i niedawno.

— Tylko tyle robiłeś? Wciąż gadałeś i gadałeś? — zapytał Hoo Hoo. Któż polował dla ciebie? Kto doił kozy? Łapał ryby?

— Rozumne pytanie, Hoo Hoo, rozumne pytanie. Jakem sam już mówił, zdobywanie żywności było w owych czasach bardzo łatwe. Byliśmy ogromnie mądrzy. Niewielu ludzi zdobywało żywność dla wielu. Inni robili co innego. Ja — uczyłem. Mówiłem cały dzień i zato dawano mi pożywienie — dużo pożywienia, smaczne pożywienie, jakiego nie próbowałem już od lat sześćdziesięciu i nie spróbuję więcej nigdy. Myślę czasami, że najbardziej cudowną koroną naszej wspaniałej cywilizacji była właśnie żywność — niezmierna tej żywności obfitość, nieskończona różnaitość, niewiarogodne wyszukanie. Och, moi kochani, życie było życiem w owych czasach, kiedy mieliśmy tak smaczne rzeczy do jedzenia!

Przerastało to możność zrozumienia trzech

słuchaczy, to też puścili to mimo uszu, jako starcze nudzenie niepotrzebnie wplecione w opowiadanie.

— Ci, którzy zdobywali dla nas żywność, zwali się „gospodarzami”. Ale to był żart. Właściwymi bowiem gospodarzami ziemi, maszyn i wszystkiego byliśmy my, klasy posiadające. Ci którzy zdobywali żywność byli naszymi niewolnikami. Odbieraliśmy im prawie wszystko, co zdobyli, zostawiając im tyle tylko, żeby nie umarli z głodu i mogli nadal pracować dla nas.

— Ja poszedłbym do lasu i polowałbym sam dla siebie—oświadczył Zajęcza Warg— I gdyby ktokolwiek próbował odebrać mi zwierzynę — zabiłbym.

Staruszek roześmiał się.

— Czy nie mówiłem, że my, klasy posiadające rozporządzaliśmy ziemią, lasami i wszystkim? Karaliśmy każdego, kto nie chciał pracować na nas — zagładzaliśmy go na śmierć. To też mało który ryzykował bunt. Woleli zdobywać dla nas żywność, szyc ubranie i dostarczać nam tyśiąca — jedna muszla, Hoo-Hoo — ty-

siąca różnych przyjemności i wygod. W owe czasy zwałem się profesor Smith — profesor James Howard Smith. Moje wykłady były bardzo popularne — znaczy to, że wiele mężczyzn i kobiet lubiło słuchać jak opowiadam o książkach, które kiedyś napisali inni ludzie.

Byłem bardzo szczęśliwy i miałem doskonałe rzeczy do jedzenia. Ręce moje były delikatne, bo nie pracowałem nimi wcale, całe zaś ciało było czyściutkie i ubrane w cienkie, piękne suknie. Obejrzał ze wstrętem swój łachman z kozłej skóry. — Dawniej nie nosiliśmy takich rzeczy. Nawet niewolnicy mieli lepsze ubrania. I byliśmy czyści. Myliśmy twarz i ręce po kilka razy na dzień. Wy, chłopaki, nie myjecie się nigdy, chyba, że chcecie popływać, albo niechący wpadniecie do wody.

— Ty też się nie myjesz, Dziadku—odpalił Hoo-Hoo.

— Wiem, wiem. Jestem stary niechluj. Ale zmieniły się wogóle czasy. Teraz nikt się nie myje i nikt od innych mycia nie wymaga. Minęło lat sześćdziesiąt od czasu

kiedym ostatni raz widział kawałek mydła. Nie wiecie co znaczy „mydło“ i teraz nie będę wam tłumaczył, bo mam opowiadać historję Szkarłatnej Śmierci. Wiecie co znaczy choroba? Otóż wiele chorób pochodzi od małych żyjątek, które my kiedyś nazywaliśmy bakterjami. Zapamiętajcie to słowo: „bakterja“. Bakterja jest bardzo małym stworzeniem. Jest jak kleszcz, którego znajdujecie na psach, w wiosennej porze, kiedy psy dużo ganiają po lasach. Tylko że bakterja jest tak mała, że nie można jej zobaczyć...

Hoo-Hoo parsknął śmiechem.

— Dobryś, Dziadku! Opowiadasz o rzeczach, których nie można widzieć! Skoro ich nie widzisz, to skąd wiesz że są? Chciałbym to wiedzieć. Skąd wiesz jakie jest to, czego nie widzisz?

— Rozumne pytanie, bardzo rozumne pytanie, Hoo-Hoo. Widzieliśmy jednak niektóre bakterje. Posiadaliśmy to, co się nazywało „mikroskopem“ i „ultramikroskopem“. Przykładaliśmy to do oczu i widzieliśmy rzeczy znacznie większe, niż były

w istocie. Niektórych rzeczy nie można było wcale widzieć bez mikroskopu. Nasze najlepsze ultramikroskopy powiększały bakterje czterdzieści tysięcy razy. Jedna muszla oznacza taką liczbę, jak tysiąc palców Edwina, prawda? Weźcie sobie czterdzieści muszel. O, tyle razy większa wydawała nam się bakterja pod mikroskopem. Pozatem mieliśmy jeszcze inne sposoby. Używaliśmy to, co nazywało się wówczas „kinematografem” i co pozwalało nam powiększyć ową powiększoną bakterję jeszcze po wielekroć razy. Za pomocą tych sposobów widzieć mogliśmy dokładnie to, na co nie starczało siły naszych oczu. Weźcie ziarnko piasku. Rozłamcie je na dziesięć części. Każdą z tych części jeszcze na dziesięć części, każdą z nich jeszcze na dziesięć i jeszcze i jeszcze i jeszcze, i tak cały dzień, a może ku zachodowi słońca będziecie mieli ziarnko tak drobne jak jedna bakterja.

Chłopcy nie kryli swego niedowierzania. Zajęcza Warga warczał, parskął i burczał,

Hoo-Hoo coś pomrukiwał, tylko Edwin szturchał ich, żeby byli cicho.

— Kleszcz wysysa krew psa, lecz bakterja, ponieważ jest mała, dostaje się aż do samej krwi i tam rozmnaża się bardzo licznie. W owych czasach bywało ich we krwi jednego człowieka około biljona — skorupkę kraba, bardzo proszę — bakterje nazywaliśmy też mikroorganizmami. Kiedy do krwi człowieka dostało się kilka miljonów lub biljonów bakteryj — człowiek był chory. Chorobę stanowiły właśnie owe bakterje. Gatunków bakteryj było bardzo wiele, więcej niż tych ziarn piasku na brzegu. My jednak znaliśmy dobrze tylko kilka gatunków. Świat mikroorganizmów był bowiem światem niewidzialnym, wiedzieliśmy więc o nim bardzo niewiele. Wiedzieliśmy jednak coś niecoś. Istniała tak zwana przez nas bakterja: *bacillus anthracis*; istniała *micrococcus*, *bacterium termo* i *bacterium lactis* — ta ostatnia do dziś dnia zmienia słodkie mleko kóz na kwaśne, Zajęcza Wargo; była też niezliczona ilość odmian tak zwanych *schizomycetes*. Było też wiele innych...

Tu starowina pograżył się w dysertację na temat bakteryj i używać począł tak długich i niedorzecznych zdań, że chłopcy pośmiewali się jeden ku drugiemu i wreszcie zapatrzyli się na ocean, zapomniawszy, że Dziadek coś bełkoce.

— No, ale Szkarłatna Śmierć, Dziadku! — przypomniał wreszcie Edwin.

Staruszek opanował się i w jednej chwili wydobył sam siebie z nastroju sali wykładowej, w której przed laty i przed innem audytoryjum rozwijał był najświeższą teorię zachorzeń.

— Prawda, prawda, Edwin, zapomniałem. Czasem wspomnienie przeszłych czasów stają się tak żywe, że zapominam zupełnie iż jestem tylko brudnym staruchem, okrytym koźlą skórą i wędrującym po świecie z mymi dzikimi wnukami, którzy pasą stada kóz pośród pierwotnej puszczy. „Wszystko jest marność, puch i wiatru gonienie”. Tak też zmarniała nasza olbrzymia cywilizacja. Jestem dziadem, starym, zmęczonym człowiekiem. Należę do plemienia Santa Rosa. Ożeniłem

się w tym plemienu. Moi synowie i córki weszli w związki z plemieniem Szoferów, z plemieniem Sacramento, z plemieniem Palo-Altos. Ty, Zajęcza Wargo, pochodzisz od Szoferów. Ty, Edwin z plemienia Sacramento. Ty, Hoo-Hoo z plemienia Polo-Altos. Plemię twoje wzięło swą nazwę od miasta zbudowanego w pobliżu drugiego wielkiego ośrodka nauki — Uniwersytetu Standford. Tak, teraz pamiętam. Doskonale przypominam sobie wszystko. Opowiem wam o Szkarłatnej Śmierci. Na czem stanąłem?

— Opowiadałeś o bakterjach, małych stworzeniach których nie widać, a które sprowadzają choroby — pośpiesznie odrzekł Edwin.

— Tak, stanąłem na tem. Człowiek nie dostrzegał, kiedy do krwi jego dostała się niewielka ilość bakteryj, ale każda bakteria dzieli się na dwie części, każda z tych części dzieli się znowu, i czynią to tak szybko, że w krótkim czasie jest ich już w ciele ludzkim wiele milionów. Wtedy człowiek zachorowuje. Choroby miewają

różne nazwy, zależnie od rodzaju bakterji, która je wywołuje. Bywa więc tyfus, influenza, żółta febra i wiele innych.

To jest właśnie najdziwniejsze w owych bakterjach. Coraz to nowe zjawiają się w ciele ludzkim. Dawnymi, bardzo dawnymi laty, kiedy ludzi było niewiele na świecie — bakterje też były nielicznych rodzajów. Im więcej jednak rozmnażali się ludzie, im tłoczniej żyli po wielkich miastach, tem więcej zjawiało się w ich ciele coraz to nowych odmian bakteryj. Niezliczone miliony i biljony zostały przez nie zabite. Im ciaśniej tłoczyli się ludzie — tem straszniejsze przychodziły choroby. Za czasów znacznie dawniejszych niż moja młodość — w tak zwanem „średniowieczu“ — poszła przez Europę „Czarna Dżuma“. Grasowała w Europie kilkakrotnie. Potem zjawiała się gruźlica w najbardziej natłoczonych miastach. Sto lat przed mojem urodzeniem grasowała „zaraza“ cholery. W Afryce istniała „epidemja“ śpiączki. Uczni „bakterjolodzy“, walczyli z tymi chorobami jak mogli i odpędzali je od lu-

dzi, podobnie jak wy, chłopcy, odpędzacie wilki od waszych stad, albo niszczyć natrętne moskity. Bakterjologdy...

— Ależ, Dziadku, co to znów znaczy? — przerwał Edwin,

— Widzisz, Edwin, ty jesteś pastuszkim. Twoim obowiązkiem jest pilnować kóz. Ty wiesz dużo o kozach, o ich zwyczajach i potrzebach. „Bakterjolog” — pilnuje bakteryj. To są jego obowiązki — dużo wiedzieć musi o bakterjach. Więc, jakem mówił, bakterjologdy walczyli z bakterjami i udawało im się — czasem — niszczyć niektóre gatunki. Istniała, na przykład, straszliwa choroba zwana trądem. Sto lat przed moim urodzeniem, bakterjologdy odkryli bakterję trądu i dowiedzieli się o niej wielu rzeczy. Mieli nawet jej obraz, tak zwaną „fotografję”. Widziałem taki obraz. Ale nigdy nie udało im się znaleźć sposobu jej zabicia. Lecz w r. 1984 wybuchła w kraju zwanym Brazylią zaraza ospy, która zabiła mnóstwo ludzi. Ale bakterjologdy znaleźli sposób zabicia tych bakteryj i wstrzymania zarazy.

Zrobili to, co nazywali „surowicą”. Wleli tę surowicę do ciała ludzkiego i zabili bakterje ospy, nie zabijając człowieka. W 1910 roku grasowała świerzba i influenza, lecz obie zabite zostały z łatwością przez bakterjologów. Lecz w 1947 pojawiła się nowa straszna choroba, której nigdy przedtem nie widziano. Zapadały na nią jedynie dzieci do wieku dziesięciu miesięcy. Nie mogły wtedy ruszać ani rękami, ani nogami, nie mogły nawet jeść; bakterjolodzy potrzebowali jedenastu lat, żeby odkryć bakterje tej choroby i nauczyć się je zabijać i tem samem ratować dzieci.

Pomimo wszystkich dawnych i coraz to innych nowych chorób, ludzie rozradzali się coraz liczniej po całym świecie. Dlatego że coraz łatwiejsze stało się zdobywanie żywności. Im dostępniejsza była żywność, tem bardziej rosła ilość ludzi i tem ciśniej im było na ziemi. Im zaś ciśniej mieszkali, tem więcej pojawiało się bakteryj, niosących choroby. Ostrzegano. W roku 1929 Soldewetzsky przepowiedział bakter-

jologom, że nie znajdą obrony przeciwko nowej zarazie, tysiącrotnie groźniejszej niż wszystkie poprzednie, zarazie, która zjawi się niewątpliwie i zabijać będzie ludzi całymi milionami, a nawet biljonami. Świat mikroorganizmów pozostał do końca tajemnicą. Wiedziano, że świat taki istnieje i że od czasu do czasu wynurza się zeń olbrzymia armja zabójców człowieczeństwa. Oto wszystko, co wiedziano. Wiedziano też że w tym olbrzymim niewidzialnym świecie może istnieć tyle gatunków bakteryj, ile ziarn piasku na morskim brzegu. Mogło się zdarzyć, że wytworzy się gatunek zupełnie nowy. Może z tego właśnie źródła pochodzi życie wogóle — owa „piekielna płodność” jak nazwał je Soldervettsky, używając zresztą określenia jednego z dawnych pisarzy...

W tym miejscu Zajęcza Warga nie wytrzymał. Skoczył na równe nogi i krzyknął zgorszony. wściekły i pełen pogardy:

— Dziadku! Chory już jestem od tego gadania. Będiesz opowiadał o Czerwonej

Śmierci czy nie? Jeśli nie, powiedz odrazu, to zabieramy się i walimy do obozu!

Staruszek spojrzał ku wnukowi i, począł płakać cichutko. Słabe łzy starości staczały się po policzkach i całe niedołęstwo osiemdziesięciu siedmiu lat wyraziło się nagle w tej jego żałośliwej postawie.

— Siadaj, siadaj — uspakajał brata Edwin. — Dziadek właśnie miał zamiar mówić o Szkarłatnej śmierci. Zaraz, zaraz zaczniesz opowiadać. No, siadaj; Zajęcza Wargo. Zaczynaj, Dziadku!

III.

Starówka otarł łzy kościstymi pięściami i rozpoczął swoją historję drżącym falsem, który wzmacniał się i wyrównywał w miarę toku opowiadania.

— Zaraza rozpoczęła się w lecie, roku 2013. Miałem wtedy lat dwadzieścia siedem, więc wszystko pamiętam dobrze. Radjodepesze...

Zajęcza Wargę splunął głośno z obrzydzenia, Dziadek więc poprawił się skwapliwie.

— Umieliśmy w owych czasach rozmawiać przez powietrze, z odległości tysięcy mil. Nadeszła więc przez powietrze wieść o nieznanej chorobie, która wybuchła nagle w New Yorku. W tem najwspanialszem mieście Ameryki mieszkało wówczas siedemnaście milionów ludzi. Nikt nie prze-

jął się zbytnio ową wiadomością. Wyda-
wało się to drobnostką. Zdarzyło się za-
ledwie kilka wypadków śmierci. Niemniej
śmierci te były bardzo gwałtowne i po-
przedzone nagłym mocnym zaczerwienie-
niem całego ciała i twarzy. W dwadzieś-
cia godzin później, taka sama wiadomość
nadeszła z Chicago. Tego samego dnia
dowiedziano się, iż Londyn, największe —
po Chicago — miasto na świecie, od
dwóch tygodni potajemnie walczy z zara-
zą, lecz cenzuruje depesze, żeby ukryć
przed światem fakt, że dotknięte jest epi-
demją. Wyglądać to zaczęło dość poważ-
nie, ale my, mieszkańcy odległej Kalifornji
czuliśmy się spokojni. Nikt nie wątpił, że
bakterjologzy znajdą sposób opanowania
tej nowej choroby, jak opanowali już tyle
innych. Niepokojąco wyglądała tylko owa
niezmierna szybkość, z jaką nowe bakterje
niszczyły organizm ludzki i fakt, że każdy
wypadek zachorowania bywał śmiertelny.
Nikt nie powracał do zdrowia. Zналиśmy
już coprawda cholere azjatycką: mogłeś
jeść obiad wieczorem z kimś zupełnie

zdrowym, a nazajutrz rano widzieć, jak go wiozą na śmiertelnym wozie. Ale ta nowa plaga była jeszcze znacznie gwałtowniejsza. Od chwili pojawienia się pierwszych oznak choroby aż do chwili śmierci upływała przeważnie godzina. Niektórzy męczyli się po kilka godzin. Inni znów umierali po upływie dziesięciu, piętnasiu minut.

Serce biło coraz śpieszniej, gorączka rosła. Potem szkarłatna barwa rzucała się jak ogień na całe ciało i twarz. Niektórzy nie odczuwali wzrostu gorączki i bicia serca, toteż dopiero ujrawszy ów szkarłat skóry, pojmowali że są chorzy. Razem z ową czerwonością przeważnie rozpoczynały się konwulsje. Nie trwały jednak długo i nie były bardzo ciężkie. Jeśli ktoś je przeżył — leżał potem zupełnie nieruchomo i spokojnie, czując tylko jak zwolna bezwład ogarnia ciało, od nóg ku górze. Najpierw kostniały stopy, potem łydki, dalej uda, kiedy zaś martwota docierała do serca — człowiek umierał. Podczas choroby ludzie nie spali i nie bredzili — zachowywali przez cały czas zupełną przy-

tomność umysłu, aż do chwili, w której nagle zatrzymywało się serce. Następnym dziwem tej choroby była szybkość pośmiertnego rozkładu ciała. Ledwie człowiek umarł — zwłoki wprost rozkładały się, rozsypywały, nikły w oczach. Była to jedna z przyczyn tak gwałtownego szerzenia się zarazy. Biljony bakteryj znajdujące się w każdych zwłokach uwalniane były błyskawicznie szybko. Dzięki temu wszystkiemu, bakterjodzy mieli bardzo małą możliwość walki z nową zarazą. Rozpoczynawszy badania, umierali w swoich pracowniach. Zachowywali się jednak po bohatersku. Ledwie padli jedni, drudzy zjawiali się na ich miejsca, by dalej prowadzić pracę. Straszliwą bakterję poraz pierwszy wyodrębniono w Londynie. Natychmiast dano znać o tem całemu światu. Nazwisko tego bakterjologa brzmiało: Trask. Umarł w trzydzieści godzin po dokonaniu odkrycia. Natychmiast we wszystkich pracowniach rozpoczęły się prace nad znalezieniem środka zniszczenia owych bakteryj. Lecz wszystkie lekarstwa zawiodły. Uważacie, chodziło

o znalezienie takiego środka, który zabiłby bakterje w ciele ludzkim, nie zabijając samego człowieka. Probowano więc znaleźć bakterje, wrogie bakterjom Szkarłatnej Plagi, któreby zwalczyły tamte w ciele żywego człowieka...

— Wcale nie można zobaczyć tych bakteryj, Dziadku — zbuntował się Zajęcza Warga — a gędzisz coś o nich i gędzisz, jakby one były najważniejsze, a tymczasem one są właściwie niczem! To, czego nie widzimy — nie jest i już. Zwalczać coś, czego niema, przez drugie coś, czego niema! Same warjaty żyły wtedy na świecie. Dlatego wyzdychały. Nie mam zamiaru wierzyć w te wszystkie bzdury — i już.

Dziadek natychmiast ocierać począł łzy — Edwin zaś ujął się za nim gorąco.

— Posłuchaj, ty Zajęcza Wargo, wierzysz przecie w wiele rzeczy, których nie widzisz.

Zajęcza Warga potrząsnął głową.

— Wierzysz, że umarli chodzą po świecie, a przecież nigdy nie widziałeś, żeby umarli chodźli.

— Widziałem, kiedym zeszedł zimy po-
lował na wilki z ojcem.

— A czemu spluwasz zawsze, kiedy
przechodzisz przez bieżącą wodę? -- wy-
zywał dalej Edwin.

— Żeby się lichu nie przyczepiło —
bronił się Zajęcza Warga.

— Wierzysz w lichu?

— Naturalnie.

— A przecież nigdy nie widziałeś licha —
zakończył triumfalnie Edwin. — Jesteś więc
wart Dziadka i jego bakteryj. Wierzysz
w to, czego nie widzisz. Wał dalej, Dziadku!

Zajęcza Warga, zgnębiony swą metafizyczną przegraną — zamilkł, starowina zaś opowiadał dalej. Nieraz słowa jego przerywał zgłębienie klótni chłopaków. Nieustannie też trwało między malcami ciche porozumiewanie się, wzajemne tłumaczenia i wszelkie wykrzykniki, które pomódz miały do rozumienia owego nieistniejącego już, dziwnego świata.

— Szkarłatna dzuma wybuchła w San Francisco. Pierwszy wypadek śmierci zdarzył się pewnego poniedziałku zrana. Już

we wtorek ludzie marli niczem muchy w Oakland i w San Francisco. Umierali wszędzie — w łózkach, przy pracy, na ulicach. Ja poraz pierwszy zobaczyłem taką śmierć we czwartek. Zachorowała panna Collbran, jedna z moich studentek, siedząc na wykładzie tuż przed moimi oczyma. Mówiąc, zauważyłem, że twarz jej poczerwieniała nagle. Przestałem mówić i wpa-trywałem się przerażony. Wszyscy zrozumieli, że oto nadeszła Szkarłatna Śmierć. Kobiety poczęły pisać i rzuciły się precz z sali. Mężczyźni wybiegli również, z wyjątkiem dwóch. Konwulsje panny Collbran były dość lekkie i trwały mniej, niż minutę. Jeden z młodych ludzi podał jej szklankę wody. Wypiła parę łyków i nagle krzyknęła:

— Moje nogi! Zupełnie nie czuję nóg. — Po upływie minuty wyrzekła: — Nie mam nóg. Kolana mam zimne. Ledwie, ledwie czuję, że mam kolana.

Leżała na podłodze, mając pod głową kilka książek. Nie mogliśmy nic poradzić. Zimno i martwota posunęła się od nóg

poprzez całe ciało, kiedy zaś dotknąłem serca — kobieta już nie żyła. Wszystko razem trwało piętnaście minut — spojrzałem na zegarek. Oto leży trup w mojej własnej sali wykładowej. Trup, który był przed chwilą młodą, silną, zdrową i bardzo piękną kobietą. Piętnaście minut. Rozumiecie teraz, jak straszna była Szkarłatna Śmierć.

Jednakże te piętnaście minut, które spędziłem przy chorej, wystarczyły, żeby zaalarmować cały uniwersytet; studenci całymi tysiącami uciekali z sal i laboratoriów. Kiedy wyszedłem ze swego gmachu, żeby zdać raport dziekanowi fakultetu — dostrzegłem, że uniwersytet jest pusty. Przez podwórza pędził ktoś tu i owdzie.

Dziekana Hoag zastałem samego w jego kancelarii. Wyglądał staro i jakby siwiej, niż zwykle. Na twarzy miał mnóstwo małych zmarszczek, których nie widziałem dawniej. Na mój widok zerwał się i cofać począł do sąsiedniego pokoju, zatrzasnąwszy drzwi i zamknąwszy je na klucz. Wiedział już, że miałem do czynienia z chórą

i bał się zarazy. Huknął mi przez drzwi, żebym sobie poszedł. Nie zapomnę nigdy uczucia, z jakim wracałem przez puste korytarze i bezludne podwórza. Nie bałem się, nie. Uważałem siebie już za umarłego. Tylko uczucie nieznośnego przygnębienia tłoczyło mnie i gniotło. Wszystko wokół mnie zamarło. Nadszedł jakgdyby koniec świata, mego świata.

Urodziłem się tutaj, w tych uniwersyteckich murach. Nauczycielstwo było jakgdyby mojem przeznaczeniem, nietylko karierą. Ojciec mój był tu profesorem przedemną, zaś przed ojcem — dziad. Przez sto pięćdziesiąt lat trwał ten uniwersytet, pracując niczem doskonale zmontowana maszyna. I oto nagle zatrzymał się w przeciągu piętnastu minut. Jakby nagle wygasł płomień na ołtarzu potrzykroć świętym. Oszołomiony byłem, ogłuszony, oniemiały.

Kiedym wszedł do domu, moja gospodyni wrzasnęła i uciekła. Zadzwoniłem. Okazało się, że pokojówka uciekła również. Poszedłem do kuchni. Kucharka właśnie kończyła pakowanie swoich rzeczy. Ujrzaw-

szy mnie, wrzasnęła również i cisnąwszy na ziemię własną walizkę z ubraniem, pomknęła precz, co sił w nogach. Dotychczas słyszę ten jej wrzask. Widzicie, nie postępowaliśmy w ten sposób, jeśli dosięgały nas zwykłe choroby. Byliśmy spokojni i tylko posyłaliśmy po lekarza, i pielęgniarkę, którzy już wiedzieli, co czynić należy. Ale tym razem była inna sprawa. Szkarłatna Śmierć zabijała pewnie, szybko i niechybnie. Zaczerwienienie twarzy stało się już piętnem śmierci. Nie było wypadku wyzdrowienia.

Zostałem sam w moim dużym domu. Jakem wam już wspomniał, w owych czasach umieliśmy rozmawiać zarówno przez powietrze, jak przez druty. Telefon zadzwonił. To mój brat oświadczał mi, że nie wraca do domu, gdyż boi się zarazy i że zabrał obie nasze siostry do mieszkania profesora Bacona.

Radził mi, żebym został tam, gdzie jestem i czekał, czy nie wystąpią objawy zarażenia.

Zgodziłem się na to wszystko, zostałem

w moim domu i po raz pierwszy w życiu spróbowałem gotować. Choroba nie wystąpiła na jaw. Przez telefon mogłem rozmawiać ze wszystkimi i otrzymywać wszelkie wiadomości. Istniały też gazety. Kazałem rzucać je sobie pod próg i czytałem o wszystkim, co działo się na świecie.

New York i Chicago żyły w straszliwym zamęciu. To, co działo się w tych dwóch olbrzymich miastach, dziać się też poczynęło w innych, mniejszych. Trzecia część policji New-Yorskiej wymarła. Komendant policji i burmistrz umarli również. Prawo i porządek przestały istnieć. Trupy leżały na ulicach niepogrzebane. Pociągi i okręty, dowożące żywność do miast, przestały kursować. Tłumy głodnych nędzarzy rabowały sklepy i składy. Wszędzie rozpoczęły się rzezie, napady i pijaństwa. Równocześnie ludność pierzchała z miast całemi miljonami — najpierw bogaci w prywatnych samochodach, potem zaś całe tłumy ludności biednej, na piechotę. Niesli już w sobie zarazę i marli po drodze, zarażając wieśniaków i małe miasteczka.

Człowiek, który przesyłał światu te wiadomości — radjooperator — znajdował się sam jeden ze swym instrumentem na wierzchołku bardzo wysokiego budynku. Ludność pozostała w mieście — oceniał jej liczbę na kilkaset tysięcy ludzi — oszałała z pijaństwa i przerażenia. Wokoło płonęły ogromne pożary. Ów radjooperator, który do końca pozostał na swem stanowisku, był prawdziwym bohaterem, chociaż prawdopodobnie był tylko obskurnym dziennikarzem.

Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny — mówił nam przez radio — nie nadeszły żadne transatlantyckie samoloty i żadne wieści z Anglii. Zato otrzymał podobno wiadomość z Berlina — (w Niemczech) — że Hoffmeyer, bakterjolog ze szkoły Miecznikowa wynalazł surowicę przeciwko zarazie. Było to ostatnie słowo, jakie my, Amerykanie, otrzymaliśmy od Europy. Widocznie Hoffmeyer zbyt późno wytworzył swoją surowicę — w przeciwnym razie europejczycy byliby już tu przybyli, żeby nas odszukać. Mogliśmy więc

tylko wnioskować, iż w Europie zdarzyło się to samo, co w Ameryce, czyli że w najlepszym razie kilkudziesięciu ludzi zostało przy życiu na całym kontynencie.

Jeszcze przez dzień jeden nadchodziły depesze z New-Yorku. Potem ustały. Radjo-operator, zamknięty w swem napowietrznem gnieździe musiał zapewne umrzeć od zarazy, albo też zginąć w płomieniach pożarów, o których opowiadał nam dnia poprzedniego. Wszystko, co zaszło w New-Yorku, powtórzyło się w innych miastach: w San Francisco, w Oakland, w Berkeley. We czwartek ludzie mrzeć poczęli tak gwałtownie, że nie nadążano z grzebaniem ciał i trupy leżały na ulicach. W nocy z czwartku na piątek rozpoczęła się paniczna ucieczka z miasta. Wyobraźcie sobie, chłopcy, tłum ludzi, gęstszy niż ławica łososi, którą widzieliście na rzece Sacramento — walący precz z miast, oszalały z przerażenia, szukający daremnie ratunku przed wszędzie obecną śmiercią. Ludzie — uważacie — nieśli przecie bakterje w samych sobie. Nawet aeroplany, które unosiły bogaczy

w góry i na pustynie, niosły ze sobą zarazę.

Setki samolotów uciekły na Hawaii, lecz nietylko przyniosły epidemję ze sobą—za-
stały ją już na miejscu. Dowiedzieliśmy się
o tem z depesz — zanim nie zniknęły
w San Francisco resztki porządku. Później
nie było już telegrafistów ani do wysyła-
nia ani do odbierania wiadomości. Brak
połączenia ze światem dawał wrażenie dzi-
waczne, niezwykle, niewiarogodne. Jakby
cały świat nagle przestał istnieć. Od lat
sześćdziesięciu świata niema dla mnie.
Wiem, że istnieje New-York, że gdzieś da-
leko leży Europa, Afryka, Azja; ale niema
od nich ani słowa od lat sześćdziesięciu.
Wraz z wybuchem epidemji świat rozdzie-
lił się doszczętnie i niepowrotnie. Dziesięć
tysięcy lat cywilizacji i kultury zniknęło
w mgnieniu oka, „marność, puch i wiatru
gonienie“.

Wspomniałem o samolotach, należących
do bogaczy. Uniosły ze sobą chorobę i lu-
dzie umierali na nich, dokądkolwiek pole-
cieli. Spotkałem jednego tylko ocalonego—

Mungersona. Przysłał potem do plemienia Santa Rosa i ożenił się z moją najstarszą córką. Przyszedł do naszego plemienia w osiem lat po dżumie. Miał wtedy lat dziewiętnaście i zmuszony był czekać jeszcze lat dwanaście, zanim się mógł ożenić. Nie było bowiem niezamężnych kobiet w naszym plemieniu, zaś wszystkie dorastające córki były już dawno obiecane mężczyznom. Musiał więc czekać, aż moja Mary skończy lat szesnaście. Jego to syn, Krzywonogi, został zabity zeszłego lata przez lwa górskiego.

Mungerson miał lat jedenaście kiedy wybuchła zaraza.

Ojciec jego był jednym z Magnatów Przemysłu, bardzo bogatych i wpływowych ludzi. Własnym samolotem, zwanym Kondr, uciekł wraz z całą rodziną w dzikie stepy Kolumbji Angielskiej, która leży daleko ku północy. Ale zdarzyło się jakieś zepsucie mechanizmu i samolot rozbił się niedaleko Mount Shasta. Słyszeliście o tej górze. Leży również daleko ku północy. Zaraza wybuchła pośród rodziny Munger-

sona i ów jedenastoletni chłopczyk był jedynym ocalonym. Przez osiem lat wędrował samotnie po pustyni, szukając naprzóżno ludzkiej istoty. Wreszcie, ruszywszy ku południowi natrafił na nas, plemię Santa Rosa.

Ale odbiegłem od mego opowiadania. Kiedy wokoło zatoki San Francisco rozpoczęła się masowa ucieczka z miast, lecz telefony działały jeszcze — rozmówiłem się z moim bratem. Powiedziałem mu, że ów bieg naosłep, gdzie oczy poniosą, jest szaleństwem, że nie widzę w sobie żadnych oznak choroby i że jedyna rzecz, którego powinniśmy zrobić — to oddzielenie siebie i naszej rodziny w jakimś bezpiecznym a ustronnym miejscu. Zdecydowaliśmy się na uniwersytecki Pawilon Chemji. Mieliśmy zwieść tam zapas żywności i z bronią w rękę nie dopuścić do naszego schronienia nikogo obcego.

Umówiwszy się ze mną w ten sposób, brat poprosił mnie znowu żebym jeszcze przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny pozostał w domu, bał się

bowiem, że choroba może się we mnie rozwinąć.

Zgodziłem się, on zaś obiecał przyjść po mnie nazajutrz. Rozmawialiśmy właśnie o szczegółach zamieszkania w Pawilonie Chemji, kiedy nagle — telefon został przerwany. Przerwany został wpośród naszej rozmowy. Tegoż wieczoru zabrakło światła elektrycznego. Zostałem sam jeden w ciemnym, pustym domu. Nie drukowano już gazet, nie wiedziałem więc co się dzieje za moimi drzwiami. Słyszałem odgłosy wybuchów i strzałów rewolwerowych — widziałem z okien łuny nad miastem Oakland. Była to noc zgrozy. Nie spałem ani chwili. Jakiś człowiek — nie wiem czemu i przez kogo — zraniony został przed moim oknem i leżał na chodniku. Słyszałem tylko szybkie strzały automatycznego rewolweru, poczem poranione i pół żywe ciało wlec się poczęło ku memu oknu, jęcząc o pomoc. Uzbrowiwszy się w dwa rewolwery, wyszedłem ku niemu. Zapaliłem zapalną i ujrzałem ze zgrozą, że w chwili, gdy ranny umierał od postrzału, na twarzy jego po-

jawiły się oznaki epidemji. Uciekłem do domu, chociaż nie przestawał jęczeć i błagać przez długie pół godziny.

Rano przyszedł mój brat. Zabrałem do ręcznej walizki trochę cennych rzeczy — lecz kiedy spojrzałem na twarz mego brata, pojąłem, że nie będzie mi już towarzyszył do Pawilonu Chemji. Był zarażony. Wyciągnął do mnie rękę, ale cofnąłem się pośpiesznie.

— Spójrz w lustro! — zawołałem.

Spojrzał — i na widok szkarlatu powleka-
jącego twarz i ciemniejącego w miarę
jak patrzył — opadł drżący na krzesło.

— Boże! — zawołał — złapało mnie! Nie
podchodź. Jestem już trupem.

Potem chwyciły go konwulsje. Umierał
dwie godziny i nie stracił przytomności aż
do końca, skarżąc się na chłód i kostnie-
nie nóg, kolan, ud, całego ciała. Wreszcie
chłód dotknął serca — nadeszła śmierć.

W taki to sposób zabijała Szkarłatna
Dżuma. Chwyciłem swoją walizeczkę i ucie-
kłem. Widok ulicy był przeraźliwy. Na
każdym kroku potykałem się o ciała. Nie-

które jeszcze nawpół żyły. Liczne pożary ogarniały Berkeley, zaś Oakland i San Francisco były jednym morzem ognia. Dym zasnuwał niebo, tak, że jasny dzień wyglądał jak głęboki zmierzch. Od czasu do czasu wiatr odgarniał chmury dymu i wtedy błyskało słońce: czerwony, mgławcy krag. Tak, moi chłopcy, było to niby w ostatni dzień świata.

Liczne samochody stały nieruchomo na jezdni. Widocznie w składach zabrakło benzyny i gazoliny. Pamiętam jeden taki samochód. Na siedzeniu pół-leżały dwa trupy, mężczyzny i kobiety. Tuż obok, na jezdni, leżały jeszcze dwie martwe kobiety i dziecko. Straszne, potworne widoki na każdym kroku! Ludzie przemykali się pośród nich trwożnie, pocichu — blade kobiety niosły maleńkie dzieci. Pojedynczo i całymi rodzinami uciekali ludzie precz z miasta. Niektórzy nieśli zapasy żywności, inni pościel lub klejnoty — było też wielu, którzy nie nieśli nic.

Pamiętam pewien sklep kolonialny — sklep, gdzie sprzedawano żywność. Kupiec, do

którego należał ten sklep — cichy, spokojny, ale tępy człowieczyzna — bronił uparcie swego dobra. Okna i drzwi zostały już wywalone, ale kupiec, schroniwszy się za kontuar walił z rewolweru do kilku mężczyzn napadających z chodnika. U wejścia leżało kilka ciał, prawdopodobnie od rana kupiec zabił już niejednego rabusia. W moich oczach jeden z napastników włamał się do sąsiedniego sklepu — z obuwiem, pamiętam jak dziś — i umyślnie sklep ten podpalił. Nie poszedłem jednak pomagać kupcowi. Minał czas poświęcania się dla bliźnich. Cywilizacja runęła — i każdy pozostał sam.

IV.

Ruszyłem śpiesznie pierwszą bocznica, i zaraz na rogu natknąłem się na nową tragedję. Dwóch robotników zatrzymało jakichś dwoje bogato ubranych ludzi, mężczyznę i kobietę, idących z dwojgiem dzieci i obdzierało ich z ubrania. Znałem tego pana z widzenia, choć nie byłem mu nigdy przedstawiony. Poeta, którego wierszami zachwycąłem się oddawna. A jednak nie zdążyłem mu już pomódz, bo w chwili, gdy podchodziłem, buchnął strzał rewolwerowy i poeta runął na chodnik. Kobieta wrzasnęła, ale ogłuszono ją potężnym ciosem w głowę. Wykrzyknąłem ku bandytom jakąś pogrózkę, wobec czego dali do mnie dwa strzały. Chybili — w sekundę później unknąłem za róg ulicy. Lecz po chwili zagroził mi drogę wzbierający pożar.

Po obu stronach płonęły budynki, ulica pełna była dymu i ognia. Skądeś, z głębi płomieni, dochodził krzyk kobiecy, wołający rozpaczliwie o pomoc. Ale nie poszedłem na ratunek. Serca ludzkie przemieniły się w owych dniach w żelazo. Zresztą, błagań o pomoc słyszało się ze wszystkich stron zbyt wiele.

Wróciwszy na pamiętny róg ulicy, gdzie zastrzelono poetę, nie zastałem tam już bandytów. Tamci dwoje leżeli martwi na chodniku. Potworny to był widok. Dzieci zniknęły — niewiem gdzie. Zrozumiałem teraz, czemu wszyscy uciekający z miasta mieli tak blade z przerażenia twarze i prze-mykali się ulicami chyłkiem i pośpiesznie. W samym łonie naszej cywilizacji, pośród dzielnic robotniczych, w licznych ghettach pracy i nędzy wyhodowaliśmy rasę dzikich, plemię barbarzyńców i oto teraz, w godzinę naszej klęski tamci zwrócili się przeciwko nam i niszczyli nas ile im sił starczyło. Coprawda, niszczyli też przytem samych siebie. Podniecali się trunkami i popełniali tysiące okrucieństw, bijąc się

między sobą i mordując w ogólnem szaleństwie. Spotkałem też jedną grupę robotników kulturalniejszych i mądrzejszych, którzy zgromadzili się razem, wzięli do środka swoje żony i dzieci, starców zaś i chorych umieścili na noszach i zaprzęglszy kilka tęgich koni do ogromnej platformy z żywnością — przebojem wywalczali sobie wyjście z miasta. Cieszyli oczy swoją sprawnością i ładem, kiedy tak szli środkiem ulicy, poprzez kłęby dymu. Coprawda, o mało mnie nie zastrzelili, kiedym im stanął na drodze. Potem jeden z przywódców krzyknął mi kilka słów na usprawiedliwienie i przeproszenie. Dodał też, że strzelają do wszystkich spotkanych rabusiów i dlatego właśnie idą gromadą, żeby się móżdż bronić i przedrzeć.

Wtedy właśnie po raz pierwszy zobaczyłem to, co później widzieć miałem ciągle. Na twarzy jednego z idących ludzi ukazywać się zaczęły niewątpliwe objawy zarazy. Natychmiast odsunęli się od niego wszyscy idący w pobliżu, on zaś wyszedł z szeregu i pozwolił innym przejść spokojnie. Jakaś

kobieta, zapewne jego żona, chciała z nim zostać. Prowadziła za rękę małego chłopca. Ale mąż rozkazał jej surowo, żeby szła dalej, zaś towarzysze wzięli ją pod ręce i nie pozwolili zostać. Widziałem to, widziałem też, jak zarażony mężczyzna wszedł do pobliskiej bramy, słyszałem huk jego broni i widziałem, jak padł martwy.

Dwa razy zawracały mnie z drogi szalejące pożary, wreszcie jednak przedostałem się do uniwersytetu. Na podwórzu spotkałem grupę ludzi, zdążającą tak jak ja w kierunku Pawilonu Chemji. Byli to profesorowie z całymi rodzinami i ze służbą. Profesor Badminton pozdrowił mnie, ale poznałem go z trudnością. Przechodził widocznie przez ogień i opalił sobie brodę aż do skóry. Na głowie miał krwawy bandaż, ubranie w strzępach. Mówił mi, że bandyci zbili go okrutnie, brata zaś zabili mu zeszłej nocy, kiedy bronił domu.

Kiedyśmy doszli już do środka podwórza, wskazał mi nagle zdaleka twarz pani Swinton. Zaraz! Nie było wątpliwości. Natychmiast pozostałe kobiety podniosły

wrzask nie ludzki i poczęły uciekać. Dwoje jej dzieci szło z niańką i także rzuciło się do ucieczki. Lecz mąż jej, doktor Swinton — pozostał.

— Idź dalej, Smith — powiedział do mnie. — Uważaj na dzieci. Ja zostanę z żoną. Wiem, że ona już właściwie umarła, ale nie mogę jej opuścić. Potem, rozumiesz, potem, jeśli się nie zarażę, przyjdę do Pawilonu Chemji. Uważaj i wpuść mnie.

Zostawiłem go schylonego nad żoną i osładzającego jej ostatnie chwile i sam pobiegłem wślad za naszą gromadką. Przyjęto mnie jednego z ostatnich do Pawilonu. Potem już z automatycznymi strzelbami w rękach bronić mieliśmy wejścia obcym. Mieliśmy zamiar zamknąć się tutaj w sześćdziesiąt osób, tymczasem każdy przyprowadził jeszcze swoich krewnych i przyjaciół, wobec czego liczba nasza wzrosła do czterystu. Pawilon Chemji był ogromny i odosobniony, to też nie groziło mu niebezpieczeństwo przerzucenia się ognia z pożarów szalejących w mieście.

Zwieźliśmy wielką ilość żywności i wybraliśmy komitet żywnościowy, który wydzielać miał codzienne porcje rodzinom i poszczególnym gromadkom ludzi, porozmieszczanym posalach wykładowych. Obmyśliliśmy bardzo szczegółową organizację i wybraliśmy kilka komitetów. Ja byłem w komitecie obrony. Przez pierwszy dzień nikt nie napadał na nasz pawilon. Z okien jednak widzieliśmy dymy ognisk bandyckich, rozłożonych już na podwórku uniwersyteckim. Cała zgraja była nieprzytomnie pijana, słyszeliśmy jej dzikie wrzaski i ohydne przyśpiewki. Kiedy cały świat walił się w gruzy i wokoło dygotała jego zgliszczka — te nieludzkie stworzenia puściły wodze swoim namiętnościom — piły, hulały, biły się — i ginęły. Zresztą, czy nie było już wszystko jedno? Ludzie umierali wszędzie i co chwila, dobry obok złego, silny obok słabego, ten który kochał życie, przy tym, który życiem gardził. Mijał każdy. Mijali wszyscy.

Kiedy po upływie doby zaraza nie ujawniła się pośród nas, złożyliśmy sobie powinszowania i wzięliśmy się do kopania

studni. Widzieliście te wielkie rury żelazne, które dawniej dostarczały wodę do miasta. Baliśmy się, że rury pękną od pożarów i zbiorniki zostaną opróżnione. Wobec tego zdjęliśmy betonową płytę na środku podwórka Pawilonu Chemji i wykopaliśmy własną studnię. Było pośród nas wielu młodych mężczyzn, studentów i profesorów — pracowaliśmy dzień i noc. Obawy nasze sprawdziły się. O trzy godziny wcześniej, niż dokopaliśmy się do wody — rury wodociągów miejskich pękły i wyschły.

Minęła jeszcze jedna doba i znów nie wybuchła pośród nas zaraza. Uważaliśmy się za uratowanych. Nie wiedzieliśmy jednak tego, co zczasem wydało mi się niewątpliwe, mianowicie, że bakterja dojrzewać musiała i rozwijać się w ciele ludzkim przez dni kilka. Bakterje zabijały z tak błyskawiczną szybkością, iż skłonni byliśmy przypuszczać, że dojrzewają równie prędko. Skoro więc dwa dni i dwie noce nie dosięgła nas zaraza, unosiliśmy się radością, że już nas nie dosięgnie.

Lecz trzeci dzień rozproszył złudzenia.

Nie zapomnę nigdy nocy, która dzień ten poprzedziła. Byłem naczelnikiem nocnej warty — od ósmej do dwunastej. Z dachu naszego pawilonu przyglądałem się w milczeniu, jak sypią się w gruzy wspaniałe dzieła rąk człowieczych. Pożary były tak olbrzymie, że całe niebo stało w ogniu łun. Przy tym blasku czerwonym można było czytać najdrobniejszy druk. Cały świat zdawał się tonąć w płomieniach. San Francisco pluło ku nam dymem, buchającym z kilkunastu pożarów, które wyglądały stąd zupełnie, jak wulkany. Oakland, San Leandro, Haywards, Point Richmond — wszystko płonęło. Pełen zgrozy to był widok. Cywilizacja, moi kochani, cywilizacja ginęła w chmurze dymu, w wyziewach śmierci. Tej nocy, o godzinie dziesiątej, wielkie składy prochu w Point Pinole wybuchły jeden po drugim. Huk był tak straszny, że nasz mocny budynek zachwiał się, jak podczas trzęsienia ziemi. Nie ocalała ani jedna szyba. Wtedy zeszedłem wreszcie z dachu i iść począłem długimi ko-

rytarzami od sali do sali, uspakajając przerażone kobiety i opowiadając im co się stało.

W godzinę później, stojąc przy jednym z parterowych okien, usłyszałem dziki wrzask w obozie rabusiów rozlokowanych na podwórzu. Buchnęło tam kilkanaście wystrzałów. Jak stwierdziliśmy później, walka wynikła stąd, że zdrowi chcieli pozbyć się zarażonych i zaczęli wyganiać ich z obozu. Bądź co bądź, gromada rabusiów o szkarłatnych twarzach umknęła z obozu i rwała co sił ku naszym drzwiom. Huknęliśmy groźnie, żeby szli przecz, ale odpowiedziano nam gradem przekleństw i kul rewolwerowych. Profesor Merryweather, stojący przy jednym oknie, dostał kulą między oczy i padł trupem na miejscu. Odpowiedzieliliśmy ogniem i wszyscy bandyci pierchnęli, prócz trojga: dwóch mężczyzn i jednej kobiety. Wszyscy troje byli zarażeni i wobec tego zdecydowani na wszystko. Jak zawzięci na śmierć wrogowie, miotali się pod naszymi oknami, szkarłatni w czerwonym ogniu łun, obrzucali nas przekleństwami i strzelali do ostatniego naboju. Jednego

z napastników zastrzeliłem własnoręcznie. Widząc to, tamci dwoje, nie przestając kłać, położyli się pod samemi naszymi oknami, żebyśmy nie stracili potwornego widoku ich śmierci.

Położenie stało się krytyczne. Wybuchy prochu pobiły wszystkie szyby w naszym pawilonie tak, że teraz byliśmy wystawieni na działanie bakterij z rozkładających się trupów. Komitet sanitarny, wybrany z pośród nas, powołany został teraz do pracy i dzielnie spełnił swój obowiązek. Zażyliśmy, aby dwóch mężczyzn wyszło z pawilonu i odrzuciło trupy precz. Dla owych mężczyzn oznaczało to prawdopodobną utratę życia, gdyż potem nie wolno im już było powrócić do pawilonu. Jeden profesor i jeden docent zgłosili się na ochotnika. Pożegnali nas i wyszli. Byli bohaterami. Dać mieli swoje życie, żeby ocalić czterysta innych istnień. Po spełnieniu nakazanej roboty, zatrzymali się jeszcze chwilę i smutnie popatrzyli ku nam. Potem ręką przesłali nam pozdrowienie i z wolna poszli przez podwórze ku płonącemu miastu.

A przecież całe to poświęcenie było daremne. Następnego ranka zdarzył się wpośród nas pierwszy wypadek dżumy, Zachorowała młoda niania dzieci profesora Stonta.

Nie było czasu na sentymentalizm, a nawet dobroć. Przypuszczając, że może zaraza dosięgła tylko ją jedną, kazaliśmy jej poprostu iść precz z pawilonu. Odeszła. Idąc powoli przez podwórko, załamywała ręce i żałośnie płakała. Postępowaliśmy, jak zwierzęta — ale cóż mieliśmy począć? Było nas cztery setki, więc trzeba było poświęcać jednostki.

W jednej z pracowni rozlokowały się trzy rodziny. Popołudniu znaleźliśmy pośród nich ni mniej ni więcej tylko cztery trupy i siedem osób zarażonych w najgroźniejszych okresach choroby.

Wtedy rozpoczęła się panika. Trupy kazaliśmy porzucać tam, gdzie padły, zdrowym zaś — zbierać się razem w drugim końcu budynku. Zaraza szerzyć się już poczyniała pośród tej reszty. Każdy, kto jej podległ, odsyłany bywał natychmiast do

oddzielnych sal. Zmuszaliśmy biednych ludzi, żeby szli tam dobrowolnie i o własnych siłach, nie chcieliśmy bowiem dotykać ich rękami. Serce krwawiło się na ten widok. Zaraza z każdym dniem szalała pośród nas coraz bardziej i jedna sala po drugiej zapelniała się umarłymi i umierającymi, my zaś, zdrowi, cofaliśmy się krok po kroku i pokój po pokoju przed zalewającą falą śmierci.

Pawilon stał się trupiarnią. Pewnej nocy żywi zerwali się nagle i uciekli precz, biorąc ze sobą tylko amunicję i żywność w konserwach. Rozłożyliśmy się obozem na wielkim podwórzu uniwersyteckim, na drugim końcu którego obozowali bandyci. Jedni z nas stanęli na warcie, inni podjęli się zrobić wywiad na mieście i dostarczyć samochodów, koni, wozów i wszelkich środków lokomocji dla przewiezienia zapasów i małych dzieci i wydostania się z miasta na wzór zorganizowanych gromad robotniczych.

Byłem jednym z owych wywiadowców. Doktor Hoyle, przypomniawszy sobie, że

zostawił swój samochód w garażu, prosił żebym odnalazł maszynę. Wyruszyliśmy po dwóch; ze mną poszedł Dombey, jeden z młodych docentów. Do domu doktora Hoyla było dobre pół mili. Droga wiodła przez dzielnicę pałacików prywatnych. Budynki stały tu daleko jeden od drugiego, pośród drzew i trawników. Pożary kaprysiły w tej dzielnicy: to paliły pojedyncze budynki, to całe ich grupy, to znów jeden dom pozostawiały nietknięty, niszcząc całą grupę. Tutaj również grasowali bandyci. Nieśliśmy rewolwery w rękę i musieliśmy mieć dość zdecydowane miny, bo jakoś nikt nas nie napastował. Lecz przy domu doktora Hoyla — zdarzyła się katastrofa. Dom stał nietknięty przez płomienie, lecz właśnie w chwili kiedyśmy podchodzili, przez okna buchnął dym. Złoczyńca, który podpalił pokoje, schodził właśnie, slaniając się, ze schodów i ruszył przez ogrody. Z kieszeni sterczały mu butelki wódki, chód zdradzał półprzytomność. Moim pierwszym odruchem było: zastrzelić! Nigdy nie przestanę żałować, że tego nie uczyniłem.

Słaniający się i bełkoczący, z oczyma kwia nabiegłymi i poranioną w bójkach twarzą stanowił najstraszliwszy okaz zbydlęcenia ludzkiego, jaki kiedykolwiek oglądałem. Nie strzeliłem niestety. Opryszek oparł się o drzewo i czekał aż przejdziemy. W tej samej chwili, kiedyśmy go mijali, wyrwał nagle rewolwer z za pasa i strzelił Dombey'owi prosto w głowę. Było to najbardziej bezmyślne, bezprzyczynowe morderstwo. W następnej chwili powaliłem go trupem. Nic to już zresztą nie pomogło. Dombey skonał natychmiast, bez jednego jęku. Wątpię, czy zdążył nawet zdać sobie sprawę z tego, co się stało.

Pozostawiawszy dwa trupy, pobiegłem śpiesznie obok płonącego domu do garażu. Stał tam nietknięty samochód doktora Hoyal. Zbiorniki pełne były gazoliny — maszyna gotowa do drogi. W tej to maszynie przemknąłem przez zrujnowane ulice miasta i powróciłem do swojej gromadki, obozującej na uniwersyteckim podwórzu. Inni wywiadowcy wrócili również, lecz żadnemu nie powiodło się tak dobrze. Pro-

fesor Fairmead przyprowadził kuca, ale biedne stworzenie, od kilku dni męczone w stajni i pozbawione paszy i wody, tak było słabe, że nie mogło unieść żadnego ciężaru. Niektórzy radzili żeby puścić kuca samopas, ja jednak nastawałem żeby go zabrać i wrazie głodu używać jako mięso.

Kiedyśmy ruszali z miasta, było nas czterdzieści siedem osób, w tem sporo kobiet i dzieci. Dziekan Wydziału Chemji, człowiek stary i złamany przeżyciami ostatniego tygodnia, jechał samochodem, wraz z drobnymi dziećmi kilku rodzin, oraz matką profesora Fairmeada. Maszynę prowadził Wathope, młody profesor angielskiego, ciężko ranny w nogę.

Byłby zapewne pogodny dzień letni, lecz dymy płonącego świata przesłoniły słońce, tak, iż wydawało się krwawo-czerwone, martwe i złowieszcze. Przywykliśmy już jednak do tego krwawego słońca. Zato dym nie przestawał nam dokuczać. Gryzł nam nozdrza i oczy — białka każdy z nas miał przekrwione.

Skierowaliśmy się w stronę południowo-

wschodnią, wzdłuż niezliczonych rezydencji podmiejskich, przez okolicę sfalowaną w lekkie wzgórza. Tą drogą jedynie mogliśmy dostać się najprędzej pomiędzy wsie.

Posuwaliśmy się nieznacznie wolno. Kobiety i dzieci nie mogły iść szybko. W tamtych czasach nikomu nie śniło się o długim chodzeniu piechotą, jak chodzi się teraz. Prawdę powiedziawszy nikt z nas nie umiał nawet porządnie chodzić. Dopiero po epidemii nauczyłem się chodzić naprawdę. Podczas naszego wymarszu z miasta, szybkość najsłabszego z nas musiała stać się szybkością wszystkich, baliśmy się bowiem rozdrobnienia naszej gromadki ze względu na bandytów. Tych zwierząt drapieżnych było teraz zresztą coraz mniej. Wytępiła ich wielu zaraza, lecz ci, którzy pozostali, stanowili jeszcze dostateczną groźbę. Niejedna piękna willa podmiejska pozostała nietknięta, a przecież dymiące ruiny spotykało się również na każdym kroku. Opryszkom widocznie obrzydł już trud podpalania, bo w miarę jakieśmy szli, spotykaliśmy coraz mniej świeżych zgliszc

Przeszukiwaliśmy niektóre mijane garaże, licząc na jakiś zapomniany samochód lub gazolinę. Nie udało nam się jednak nic znaleźć. Ci, co szli pierwsi, zabrali już wszystko. My zato postradaliśmy przy owych poszukiwaniach jednego z naszych towarzyszy, pięknego i młodego chłopca, Calgana. Zastrzelił go, przechodzącego przez trawnik, jakiś bandyta. Innym razem jakieś pijane bydlę umyślnie nas ostrzeliwało. Na szczęście, strzelał na oślep i położyliśmy go trupem, zanim trafił którego z nas.

We Fruitvale, wciąż jeszcze pośród wspa-
niałej dzielnicy will — znowu dosięgła nas
zaraza. Ofiarą padł profesor Fairmead. Dał
nam znak żebyśmy nic nie mówili matce,
wystąpił z idącego szeregu i usiadł zgnę-
biony i ogłuszony na schodkach jakiejś
pustej willi. Zwolniłem kroku i posłałem
mu ręką ostatnie pożegnanie. Tej nocy
rozbiliśmy obóz daleko poza Fruitvale,
ale wciąż jeszcze w granicach miasta.
I tejże nocy dwukrotnie zwijaliśmy obóz
żeby uciec od naszych zmarłych. Do rana
zostało nas trzydzieści osób. Nie zapomne

nigdy Dziekana Wydziału Chemji. Podczas porannego marszu na twarzy jego żony ukazały się fatalne symptomy. Kobieta chciała usunąć się samotnie z gromady, lecz kiedy wycofała się z szeregu, mąż zażądał, żeby mu pozwolono opuścić samochód i pozostać z nią razem. Opieraliśmy się długo, lecz przystaliśmy wreszcie. Zresztą, czyż to nie było wszystko jedno? Któż mógł wiedzieć czy sam ocaleje?

Następnej nocy — drugiej nocy naszego marszu, rozłożyliśmy obóz pod Hayward, już w miejskiej okolicy. Nad ranem żyło zpośród nas już tylko jedenaście osób. Tejże nocy uciekł samochodem profesor Wathope, ów ranny w nogę. Zabrał ze sobą siostrę, matkę i większość naszych zapasów żywności. Tego to dnia, popołudniu, odpoczywając przy drodze, widziałem był ostatni samolot w życiu. Tu, na wsi, chmury dymu były wiotsze — dostrzegłem więc wyraźnie jak statek powietrzny zachwiał się, zakołował i opadać zaczął bezwładnie z wysokości około dwóch tysięcy stóp. Niewiem co się stało, widzie-

liśmy tylko jak opadał wciąż niżej i niżej, kołując. Potem zapewne popękać musiały zbiorniki gazów w pewnej bowiem chwili samolot runął prostopadle, niby kamień. Od owego dnia aż do dzisiejszego nie widziałem już samolotów. Nieraz uważnie szukałem ich oczyma po niebie, ufając wbrew nadziei, że może gdzieś na świecie utrzymała się ludzka cywilizacja. Lecz nie. To, co zdarzyło się w Kalifornji, musiało zapewne zdarzyć się na całym świecie.

Minał jeszcze jeden dzień i w Niles było nas już tylko trzech. Poniżej Niles znaleźliśmy pośród drogi profesora Wathope. Samochód był strzaskany, na szosie zaś leżały zwłoki profesora, jego siostry i matki.

Zmęczony uciążliwym, pierwszym w życiu, marszem spałem ciężko tej nocy. Nad ranem sam zostałem na świecie. Canfield i Parsons, moi dwaj ostatni towarzysze, umarli na dżumę. Z czterystu ludzi, którzy schronili się do pawilonu Chemji — i z czterdziestu siedmiu, którzy wyruszyli z miasta, zostałem ja sam jeden — ja i kucyk. Dlaczego? Niewiem. — Nie za-

raziłem się poprostu. Byłem odporny. Byłem jednym szczęśliwcem na miljon — i wszyscy ci, którzy przeżyli Szkarłatną Dżumę byli jedynymi na miljon, a raczej nawet na kilka miljonów.

V.

Przez dwa dni chroniłem się w jakimś wygodnym rowie, gdzie — o dziwo — nie leżały trupy. Chociaż bardzo przygnębiony i, lada chwila oczekujący swojej śmierci, niemniej te dwa dni poświęciłem na odpoczynek, swój i kuca. Trzeciego dnia załadowałem na grzbiet kuca trochę pozostałych konserw i wyruszyłem przed siebie poprzez opustoszały kraj. Dokoła leżały trupy. Nie spotkałem żywej duszy, ale żywności nie brakło. Ziemia nie wyglądała ongiś tak, jak teraz. Była oczyszczona z drzew i zarośli i cała uprawiona. Żywność przygotowana dla milionów ust rosła, dojrzewała i szła na marne. Z pól i ogrodów zbierałem jarzyny, owoce i jagody. Na podwórkach domków wiejskich znajdowałem jaja i łapałem kurczęta. Częs-

to też brałem puszki konserw z otwartych, do nikogo już nie należących śpizarni. Dziwne rzeczy działały się z domowymi zwierzętami. Dziczały i rzucały się jedne na drugie. Kury i kaczki wyginęły pierwsze — zdziczały zaś najpierw świny i koty. Psy przystosowały się szybko do nowych warunków. Zaczęła się istna plaga psów. Nocami pożerały ciała, wyły i waleśały się powsząd, w dzień zaś chowały po lasach. Zczasem zauważyłem zmianę w ich sposobie bycia. Z początku chodziły samotnie, bardzo podejrzliwe i bardzo skłonne do bójek. Później jednak zaczęły łączyć się i chodzić stadami. Pies, widzicie, był zawsze zwierzęciem towarzyskiem, zanim jeszcze oswojony został przez człowieka. W ostatnich czasach przed zarazą istniało na ziemi mnóstwo gatunków psów — psy bez włosów i psy o ciepłym futrze, psy tak maleńkie, że stanowiły tylko jeden smaczny kęs dla psów innych, wielkich jak lwy górskie. Po wymarciu ludzi, duże psy pożarły małe i słabe. Największe zresztą nie zdołały również przystosować

się do życia w dzikości, przestały rozmnażać się i wyginęły. Wreszcie liczne gatunki psów przestały istnieć, a utrzymały się tylko psy średniego wzrostu, podobne do wilków, jakie widzicie obecnie.

— Ale koty nie biegają stadami, Dziadku — oparł się nagle Hoo-Hoo.

— Kot nie był nigdy zwierzęciem towarzyskiem. „Kot chodzi własnymi drogami”, jak powiedział pewien pisarz dwiętnastego stulecia. Chodził zawsze własnymi drogami, zarówno wtedy, kiedy człowiek próbował go oswajać, jak podczas długich wieków współżycia z człowiekiem, jak wreszcie dzisiaj, gdy zdziczał raz jeszcze.

Konie zdziczały również i wszystkie nasze dawne piękne rasy wyrodziły się tak, że został tylko mały mustang, którego znamy po dziś dzień. Krowy również przystosowały się do dzikości, tak samo gołębie i owce. Że zostało trochę kur, o tem sami dobrze wiecie. Ale dzisiejsze dzikie kurki są zupełnie niepodobne do dawnych.

Ale wracam do swego opowiadania.

Wędrowałem więc przez opustoszały kraj. W miarę, jak czas upływał, zacząłem coraz mocniej pragnąć widoku ludzi. Lecz nie spotykałem ani jednej ludzkiej istoty i coraz mi było ciężej i ciężej. Przeciąłem Dolinę Livermore i pasmo gór, leżące pomiędzy nią a wielką Doliną San Joaquin. Nie widzieliście nigdy tej doliny. Jest ona bardzo duża i jest siedliskiem i gniazdem dzikich koni. Żyją tam tysiące i dziesiątki tysięcy dzikich stad. Byłem tam przed trzydziestu laty, więc dobrze wiem. Myślicie, że tu, w nadmorskich dolinach jest również sporo koni? To jest niczem w porównaniu z doliną San Joaquin. Dziwną jest rzeczą, że zdziczałe krowy odeszły w góry, widocznie łatwiej im kryć się i wyżyć w tamtych warunkach.

Po wsiach mniej grasowali bandyci, widziałem bowiem wiele nietkniętych przez ogień domów i całych miasteczek. Pełne jednak były rozkładających się ciał, minąłem je więc pośpiesznie. W pobliżu Lathrope, już zupełnie zrozpaczony samotnością, natrafiłem na parę psów

owczarków, które jeszcze widocznie nie nawykły do wolności i chętnie wróciły w jarzmo człowieka. Owczarki te nie rozstawały się ze mną przez lat wiele i ich potomkowie należą teraz do was; coprawda przez lat sześćdziesiąt rasa owczarków wyrodziła się tak bardzo, że dzisiejsze wasze kudłate bestje są raczej oswojonemi wilkami.

Zajęcza Warga wstał, obejrzał się dokoła, czy kozom nic nie grozi, rzucił okiem na położenie słońca na horyzoncie zachodnim i usiadł znowu, nie kryjąc jednak swego zniecierpliwienia, iż opowiadanie Dziadka tak się rozwleka, Edwin też poprosił o pośpiech, staruszek więc ciągnął dalej.

Niewiele już mam do powiedzenia. Udało mi się schwytać konia, konno więc, ze swym kucem i dwoma psami przebyłem Dolinę San Joaquin i wjechałem w przepiękną dolinę w pasmie gór Sierra, zwaną doliną Yosemite. Tam, w wielkim hotelu znalazłem ogromny zapas konserw. Paszy też nie brakło, zwierzyny pełno było po lasach, zaś pstrągów w rzeczce górskiej.

Przebyłem tam trzy lata w samotności, której okrucieństwo potrafi zrozumieć ten tylko, kto był niegdyś wysoko ucywilizowanym człowiekiem. Wreszcie nie mogłem wytrzymać. Czułem, że oszaleję.

Byłem zwierzęciem towarzyskiem, tak jak pies, i pragnąłem istot swojej rasy. Przypuszczać mogłem przecież, że nietylko ja jeden z pośród ludzi uniknąłem zarazy. Wnioskowałem również, iż po trzech latach bakterje wyginęły zapewne i kraj jest czysty.

Wyruszyłem więc w świat, wraz z koniem, kucem i psami. Znowu przeciąłem dolinę San Joaquin, góry poza nią i znalazłem się w dolinie Livermore. Przez te trzy lata zaszły oszałamiające zmiany. Pola i łąki zarosły tak bujnie, że z trudnością mogłem poznać okolicę, gdzie morze wspinałej roślinności zatopiło wszelkie dzieła rolniczej ręki ludzkiej. Widzicie, zboża, jarzyny, drzewa owocowe i winnice, zawsze hodowane i pielęgnowane przez człowieka, były delikatne i wątłe. Zielska zaś i dzikie krzaki były zawsze przez człowieka zwalczane, to też nabrały mocy i odporno-

ści. W rezultacie, kiedy znikła ręka człowieka, dzika roślinność pochłoneła i zwała się roślinność hodowaną. Dokoła snuło się mnóstwo kujotów, i wtedy to poraz pierwszy napotkałem wilki, po dwa, po trzy lub całemi stadami schodzące się z okolic, gdzie pozostawały zawsze.

Wreszcie, dnia pewnego, koło Jeziora Temescal, niedaleko byłego miasta Oakland natrafiłem na pierwszy ślad istot ludzkich. Och, moi chłopcy, nie umiem opisać wam swego wzruszenia, kiedy zjeżdżając z góry ku jezioru, prowadząc kuca, ujrzałem dym obozowego ogniska, wznoszący się ponad drzewa. Serce przestało mi bić na chwilę. Miałem wrażenie, że warjuje. Nagle usłyszałem płacz dziecka — ludzkiego dziecka. Psy zaszczekały — moje psy odpowiedziały natychmiast. Nie wiedziałem przecież, czy nie sam jeden zostałem na całym świecie. Aż tu nagle dym — i płacz dziecka!

Nad jeziorem, w odległości jakich stu jardów, wyrósł mi przed oczyma ogromny mężczyzna. Stał na jakimś występie skalnym i łowił ryby. Oniemiałem. Chciałem

zawołać, ale nie mogłem. Zatrzymałem konia. Ruchem ręki przesłałem pozdrowienie obcemu człowiekowi. Człowiek patrzył na mnie, ale na pozdrowienie nie odpowiedział. Wtedy ukryłem twarz w dłonie, ot tak, w końskiej grzywie. Wiedziałem już, że to halucynacja i bałem się, że obraz zniknie jeśli spojrzę raz jeszcze. Obraz zaś był mi tak pożądany, że chciałem zatrzymać go jeszcze chociaż przez chwilę w oczach. Wiedziałem, że pozostanie pod powiekami, dopóki nie spojrzę znowu.

Pozostałem tak, dopókim nie usłyszał warczenia moich psów i głosu ludzkiego. Jak wam się zdaje, cóż powiedział ten głos?

Powtórzę wam. Głos powiedział: „Skądżeś wylazł, u licha ciężkiego?”

Tak brzmiały owe słowa, właśnie tak. Przywitał mnie w ten sposób twój drugi dziadek, Zaięcza Wargo, kiedy mnie ujrzał na brzegu Jeziora Temescal lat temu pięćdziesiąt siedem. Były to jednak najcudowniejsze słowa, jakie usłyszałem kiedykolwiek.

Otworzyłem oczy. Stał oto przedemną

ogromny człowiek, ciemny, włochaty, o ciężkiej szczęce, niskich brwiach i dzikich oczach. Nie pamiętam, jak zeszedłem z konia. Pamiętam tylko, jak chwyciłem jego rękę w obie moje ręce i zapłakałem. Chciałem go uściskać, ale w dzikim życiu stał się podejrzliwy i odskoczył precz. Nie puściłem jednak jego rąk i płakałem dalej.

Głos starowiny zadrżał i załamał się przy tem wspomnieniu. Słabe łzy polały się po policzkach. Chłopcy patrzyli i chichotali pocichu.

— Płakałem jednak — mówił starzec — i chciałem go uściskać, choć szofer był istną dziką bestją, najohydniejszym człowiekiem jakiego znałem kiedykolwiek. Nazywał się.. to dziwne, zapomniałem jego nazwisko. Wszyscy nazywali go Szoferem — była to nazwa jego dawnego zajęcia — i tak już zostało. Plemię, które założył, do dziś dnia nazywa się Plemieniem Szoferów.

Był człowiekiem gwałtownym i niesprawiedliwym. Czemu oszczędziły go bakterje — niewiem. Pomimo naszych dawnych filozofij na temat sprawiedliwości — my-

śle teraz, że sprawiedliwości na świecie
niema. Pocóż on żył? — Ten potwór mo-
ralny, hańba natury, okrutny, bestjałski
pomiot. Mówić tylko umiał o swoich ma-
szynach, gazolinach i garażach — oraz ze
szczególnem namiętnem upodobaniem, o tem
jak podle oszukiwał tych, u których pra-
cował był przed wybuchem epidemji...
A przecież pozostał przy życiu, podczas
gdy zginęły miliony — ach biljony — in-
nych ludzi. Poszedłem z nim do jego
obożu i tam ujrzałem ją — Vestę Van
Warden, jedyną kobietę. Było to cudowne
i straszliwe. Oto ona była, Vesta Van Warden,
okryta łachmanami, pochylona nad dymią-
cem ogniskiem i spełniająca najczarniejszą
robotę poranionemi, stwardniałemi rękoma.
Ona, Vesta, urodzona w przepychu naj-
większego bogactwa, jakie świat znał kie-
dykolwiek. Mąż jej, John Van Warden,
oceniany na biljon osiemset milionów do-
larów, prezes Izby Megnatów Przemysłu —
faktycznie rządził Ameryką. Będąc zaś
członkiem Międzynarodowej Izby Kontroli
był jednym z siedmiu ludzi, którzy rządzili

światem. Ona sama pochodziła z niemniej szlacheznego rodu.. Ojciec jej, Philip Saxon był prezesem tejże Izby Magnatów Przemysłu aż do śmierci. Urząd ten był dziedziczny i gdyby Philip Saxon miał być syna, stanowisko odziedziczyłby syn. Lecz jego jedynym dzieckiem była Vesta, kwiat wyrosły z niezliczonych pokoleń najwyższej kultury, jaką wydała kiedykolwiek nasza ziemia. Po zaręczynach Van Wardena z Vestą, Philip Saxon nazначzył go swoim następcą. Było to niewątpliwie małżeństwo zawarte ze względów politycznych. Mam przyczyny do przypuszczeń, iż Vesta nigdy nie kochała swego męża w sposób jaki opisują poeci. Podobne małżeństwa zawierali ongiś królowie, zanim zastąpieni zostali przez instytucję magnatów.

I oto jest Vesta Van Warden, warząca rybną polewkę w glinianym garczku. Cudowne jej oczy zaogniły się od gryzącego dymu otwartych ognisk. Smutna była jej historia! Ocalała z pośród miliona padających wokoło trupów, tak samo jak ocalałem ja i ocalał szofer, Na pięknem wzgó-

rze Alameda, wznoszącem się ponad zatoką San Francisco, Van Warden zbudował wspaniałą pałac letni, otoczony stuakrowym parkiem. Kiedy wybuchła epidemja, Van Warden odesłał żonę do owej letniej siedziby. Uzbrojeni wartownicy strzegli bram parku. Do pałacu nie wpuszczano nikogo i nic. Nawet poczta i żywność musiały być uprzednio dezynfekowane. A jednak zaraza wdarła się, zabiła wartowników na posterunkach i służbę przy robocie, zmiatając całą armję domowników, prócz tych, którzy uciekli, by umrzeć gdzieindziej. Vesta sama jedna pozostała przy życiu i sama jedna znalazła się w ogromnym pałacu, który przemienił się w cmentarzysko.

Szofer był jednym ze służących, którzy uciekli. Wróciwszy po dwóch miesiącach, odkrył istnienie Vesty w małym pawiloniku letnim, gdzie się schroniła i gdzie nie było trupów. Szofer był dziką bestją. Pani przelekła się śmiertelnie i pierzchła wgląb parku. Tej nocy uciekła w góry — ona, której delikatne nogi i wątłe ciało nie

zaznało nigdy znoju őróg ni twardzizny kamienia. Szofer pomknął za nią i dopędził ją tejże nocy. Uderzył! Czy rozumiecie? Bił ją temi swemi straszliwemi pięściami i uczynił ją swoją niewolnicą. Musiała zbierać chrust na ognisko, rozpalać ogień, gotować i spełniać całą upokarzającą robotę obozową — ona, która nigdy w swoim życiu nie spełniła najmniejszej pracy. Teraz, zmuszał ją do wszelkiego najcięższego znoju on, szofer, dziki człowiek, który wolał wałęsać się dokoła obozu i patrzeć. Nie robił nic, dosłownie nic. Czasem tylko polował, lub łowił ryby.

— W sam raz zajęcie dla szofera — zauważył półgłosem Zajączka Wargę. — Pamiętam go przed jego śmiercią. Był już bardzo stary, a robił wszystko co było potrzeba i od innych wymagał roboty. Mój ojciec ożenił się z jego córką, uważacie, i warto było widzieć, jak stary walił czasem mego ojca. Szofer „zjadł djabła” jak o mnie mówiono. Nam, dzieciom kazał kiedyś stanąć wokoło, kiedy jadł. I nagle nie przestając jeść, sięgnął po mnie ręką

i tego rozplątał mi głowę kijem, który zawsze miał przy sobie.

Zajęcza Warga potarł pamiętliwie okrągłą głowę, poczem trzech chłopcy znowu sprobowali słuchać Dziadka, chociaż ten ostatni mamrotał teraz tylko jakieś zachwyty na temat Vesty, żony Szofera, założyciela plemienia.

— Powiadam wam, nie potraficie zrozumieć całej okropności położenia. Szofer był sługą, czy rozumiecie, sługą! Do takich jak ona, Vesta, podchodził zgięty w pokornym ukłonie. Ona była panią życia, z rodu ojca i z godności męża. Łosy milionów takich jak ów szofer niosła w swej maleńkiej, biało-różowej dłoni. W czasach poprzedzających zarazę, najlżejsze zetknięcie z ludźmi takimi jak on uważane było za hańbę. O, widywałem to na własne oczy. Pamiętam niejaką panią Goldwin, żonę jednego z magnatów. Pewnego razu, wsiadając właśnie na lotnisku do swego prywatnego aparatu, niechcący rzuciła parasolkę na ziemię. Któryś ze służących podniósł parasolkę i ośmielił się własno-

ręcznie podać ją pani — pani, jednej z największych, najpotężniejszych władczyń kraju! Odsunęła się gwałtownie, jak od trędownego i kazała swojemu sekretarzowi odebrać parasolkę, oraz sprawdzić imię zuchwałego stworzenia i dopilnować, żeby niezwłocznie usunięte zostało ze służby. Kobieta takich samych poglądów była Vesta Van Warden. I ją właśnie bił szofer i ją właśnie uczynił swoją niewolnicą!

...Bill — tak jest, szofer Bill. Przypomniałem sobie to imię. Pierwotna, brutalna bestja, do cna wyzuta ze wszelkich delikatniejszych uczuć i rycerskich dążeń kulturalnego człowieka. Nie, niema sprawiedliwości, jeśli ten kwiat kobiecości Vesta, przypadł w udziale owemu szoferowi. Wy, moi chłopcy, nie pojmiecie nigdy potworności tego faktu. Sami jesteście małymi dzikusami i nic prócz dzikości nie znacie. Czemż Vesta nie dostała się mnie? Byłem człowiekiem wysoce cywilizowanym i kulturalnym, profesorem znakomitego uniwersytetu. Pomimo to, przed Szkarłatną Plagą, stanowisko Vesty było tak wysokie, że

nie raczyłaby zauważyć mego istnienia. Jak więc straszliwe było jej poniżenie w rękach szofera! Trzeba było ni mniej ni więcej, tylko ruiny całego naszego świata, żeby ja mógł poznać Vestę, patrzeć w jej oczy, mówić z nią, dotykać jej ręki — o, i kochać ją i wiedzieć, że uczucia jej do mnie pełne są życzliwości. Mam powody wierzyć, że ona — ona, Vesta — kochałaby mnie również, gdyby poza mną i szoferem nie było innych mężczyzn na świecie... Czemuż zaraza, zniszczywszy osiem biljonów istnień ludzkich, nie zniszczyła jeszcze tego jednego człowieka — Szofera.

Pewnego razu, kiedy szofer poszedł na ryby, Vesta błagała mnie, żebym go zabił. Błagała ze łzami w oczach. Ale szofer był bardzo silny i bardzo gwałtowny — bałem się. Zdobyłem się jednak zczasem na rozmowę. Proponowałem mu mego konia, kuca, psy i wszystko, co posiadałem, jeśli odda mi zato Vestę. Skrzywił się w uśmiechu i potrząsnął głową. Późem mówić zaczął ubliżające rzeczy! Mówił, że był w daw-

nych czasach prochem i pyłem pod nogami ludzi takich, jak ja, a teraz właśnie jest szczęśliwy, bo jedna z najznakomitszych pań dawnego świata jest jego służebnicą, gotuje mu strawę i karmi jego dziecię! — Wyście mieli swoje złote czasy przed dżumą — powiedział — a teraz są moje czasy, i są djablo dobre! Za żadne skarby nie zamieniłbym się na przeszłość. — Tak mówił, ale nie jego to były słowa. On sam był tylko wulgarnym człowiekiem o najniższych instynktach i usta jego nie znały nic, prócz przekleństw.

Powiedział mi też, że jeśli będę spoglądał chciwymi oczami na jego kobietę, to złamie mi kark, a jej sprawi lanie. Cóż miałem począć? Bałem się. Szofer był dra piezną bestją. Pierwszego wieczoru rozmawialiśmy długo z Vestą o naszym drogim, minionym świecie. Mówiliśmy o sztukach pięknych, o książkach, o poezji. Szofer słuchał i wyszczerzał zęby w uśmiechu. Gniewny był i rozdrażniony naszym sposobem mówienia, którego nie rozumiał. Wreszcie wybuchnął: — A oto właśnie jest

Vesta Van Warden, swego czasu małżonka Johna Van Warden, wielkiego magnata — dumna piękność, moja niewolnica. Eh, panie Smith, zmieniły się czasy, zmieniły się czasy.

— No, chodź tu, kobieto, zciągnij mi chodaki, a żywo! Chcę, żeby profesor Smith zobaczył, jak doskonale cię wytresowałem.

Zacięła zęby, rumieniec buntu zabarwił jej twarz. Podniósł pięść do ciosu — we mnie stanęło serce z przerażenia. Nie mogłem jej obronić — wstałem więc, żeby odejść i nie być świadkiem takiej hańby. Szofer jednak roześmiał się i zagroził mi biciem, jeśli nie zostanę i nie zechcę podziwiać widowiska. Pod przemocą więc usiadłem przy ognisku, tam, na brzegu Jeziora Temescal i widziałem, jak Vesta Van Warden uklękła i zdejmowała chodaki owemu małpoludowi o wyszczerzonych zębach i włochatej twarzy.

...Och, wy nie zrozumiecie tego, moi wnukowie. Nigdy nie widzieliście nic innego, więc nie wiecie nawet, o co mi chodzi.

— Dosyć zmyślna i wogóle wcale niczego — dogadywał Szofer, kiedy Vesta

spełniała swój potworny, poniżający obowiązek. — Czasem coprawda próbuje trochę mi się buntować, ale dać zlekka po buzi, to odrazu mięknie, jak owca. Tak, tak, panie profesorze.

Innym razem powiedział: — Trzeba będzie porządnie wziąć się do roboty i nowo zapęłnić ziemię ludźmi. Ubiegłem ciebie, profesorze. Ty nie masz żony, a układ stosunków na kuli ziemskiej jest teraz bardzo podobny do dawnego raju. Nie pysznię się jednak rolą Adama. Coś ci powiem, profesorze. — Wskazał mi palcem niemowlę: — To będzie twoja żona, jeśli naturalnie zechcesz poczekać, aż dorośnie. Bogata jest, może nie? Wszyscyśmy równi, ale ja tu jestem najgrubszą rybą. Nie, nie chcę być zbyt dumny. Czynię panu ten zaszczyt, profesorze Smith, czynię panu ten wielki zaszczyt i obiecuję rękę mojej i Vesty Van Warden córki. Psiakrew! że też niema Van Wardena na świadka!

VI.

Trzy tygodnie nieznosnych męczarni przeżyłem w obozie Szofera. Wreszcie, pewnego dnia, mając dosyć mojej obecności, albo tego, co nazywał moim złym wpływem na Vestę, Bill oświadczył mi, że rok temu, wędrując przez pagórki Contra Costa do Cieśniny Carquinez, widział dym ogniska po drugiej stronie Cieśniny. Znaczyło to, że w tamtej okolicy obozują zapewne jakieś niedobitki ludzkie, znaczyło również, iż Bill przez trzy tygodnie ukrywał przedemną tę cenną wiadomość. Wyruszyłem natychmiast, z memi psami i końmi poprzez wzgórza Contra Costa ku Cieśninie Carquinez. Dymu nie dostrzegłem na przeciwległym brzegu, ale zato przy Port Casta stała mała stalowa barka na którą załadować mogłem swoje zwie-

rzęta. Stare płótno, znalezione w barce posłużyło mi za żagiel, poczem morka południowa uniosła mnie przez Cieśninę ku ruinom Vallejo. Tu, na gruzach przedmieścia odnalazłem ślady niedawnego obozowiska. Liczne muszle ślimaków morskich wskazywały, czem owi ludzie obozowali tu nad Zatoką. Ludzie ci jak się okazało później, byli plemieniem Santa Rosa. Szedłem ich śladem wzdłuż dawnego toru kolejowego, poprzez słone bagna aż ku Dolinie Sonoma. Tutaj, przy dawnej cegielni w Glenn Ellen natrafiłem na obóz. Osiemnaście osób! Dwóch starych mężczyzn, z których jeden nazywał się Jones, dawniej bankier, drugi zaś właściciel lombardu Harrison. Pojął on za żonę starszą pielęgniarkę z miejskiego szpitala dla obłąkanych w Napa. Z całego miasta Napa i ze wszystkich wsi i osad tej bogatej i ludnej doliny, ocalała tylko owa pielęgniarka. Późatem, w obozie byli jeszcze trzech młodzi ludzie, Cardiff i Hale, ongiś zamożni gospodarze wiejscy, oraz Wainwright, ubogi robotnik podziemny. Wszyscy trzech znaleźli

sobie żony. Hal'owi, chłopu-analfabecie, przypadła w udziale Izydora, najcenniejsza po Veście, z pośród kobiet, które ocalały. Izydora była jedną z najznakomitszych śpiewaczek świata, dżuma zastała ją w San Francisco. Pewnego razu rozmawiała ze mną obszerniej i opowiedziała mi swoje przygody, zakończone ocaleniem jej przez Hal'a w lesie Mendocino. Po owem ocaleniu nie pozostało jej nic więcej jak zostać żoną Hal'a. Był to zresztą dobry chłopak, pomimo swego analfabetyzmu i nieokrzesania. Posiadał poczucie sprawiedliwości i prawości, to też Izydora była z nim bez porównania szczęśliwsza niż Vesta z Szoferem.

Żony Cardifa i Wainwrighta były pospolitemi kobietami, nawykłemi do ciężkiej pracy, silnemi fizycznie — przystosowały się więc łatwo do pierwotności i znoju nowego życia. Jakby na dodatek w obozie znalazło się jeszcze dwóch kretynów z Zakładu w Eldredgé. Pozatem jeszcze pięcioro czy sześcioro dzieci i niemowląt, urodzonych już po utworzeniu plemienia Santa

Rosa. Była też Berta. Dobra kobieta, Zajęcza Wargo, pomimo niechęci twojego ojca, pojąłem ją za żonę. Zczasem została matką twego ojca, Edwin i twego, Hoo-Hoo. Córka nasza, Vera, została żoną twego ojca, Zajęcza Wargo, twego ojca imieniem Sandow, który był najstarszym synem Vesty Van Warden i Szofera.

Tak oto stałem się dziewiętnastym członkiem plemienia Santa Rosa. Po mnie przyłączyło się już tylko dwóch nowych przybyszów. Jednym był Mungerson, potomek magnatów, który, jakem mówił, wędrował przez osiem lat przez dzikie puszcze północnej Kalifornji, aż wreszcie natrafił na nas. On to właśnie czekał lat dwanaście na poślubienie córki mojej, Mary. Drugim był Johnson, który założył plemię Uta. Sam bowiem pochodził z kraju Uta, który leży daleko stąd na zachód, aż za wielką pustynią. Dopiero w dwadzieścia siedem lat po epidemji, Johnson przywędrował do Kalifornji. W całym Uta odnalazło się tylko trzech ocalonych, sami mężczyźni. Przez całe lata mężczyźni ci mieszkali i polowali

razem, aż wreszcie, zrozpaczeni, bojąc się, że wraz z nimi wyginie rasa ludzka na kuli ziemskiej, ruszyli na wschód, ku Kalifornji, poszukując kobiet, które przetrwały epidemję. Z wielkiej pustyni Johnson wyszedł już sam, dwaj jego towarzysze umarli bowiem w drodze. Johnson miał lat czterdzieści sześć kiedy do nas dotarł. Ożenił się natychmiast z czwartą córką Izydory i Hal'a, z czasem zaś jego starszy syn pojął swoją ciotkę, Zającza Wargo, która była trzecią córką Vesty i Szofera. Johnson był silnym i samowolnym człowiekiem, wobec czego po pewnym czasie oddzielił swoją rodzinę od plemienia Santa Rosa i założył plemię Uta, mieszkające w San José. Plemię to nieliczne, liczące zaledwie dziewięć osób; lecz pomimo śmierci założyciela, wpływ jego i siła przetrwały, plemię niewątpliwie rozrośnie się, nabierze mocy i odegra główną rolę w odbudowie cywilizacji świata,

Wiemy jeszcze o istnieniu dwu plemion: Los Angelos i Carmelitos. To ostatnie pochodzi od jednej pary ludzkiej. Mężczyzna

zowie się Lopez, jest potomkiem dawnych meksykańczyków i ma bardzo czarną skórę. Był pastuchem na folwarku w okolicy Carmel, żona zaś jego była służącą w ogromnym hotelu Del Monte. Przed siedmiu laty zetknęliśmy się poraz pierwszy z plemieniem Los Angeles. Dobry zajęli sobie kraj, tylko trochę za gorący. Obecne zaludnienie Ameryki obliczam na trzysta pięćdziesiąt do czterystu ludzi, pomijając, rzecz prosta, możliwość istnienia rozproszonych tu i owdzie drobnych plemion. Niesłyszeliśmy o nich. Od czasu kiedy Johnson przeszedł przez pustynię, dzielącą Utah od Kalifornji, żaden znak ludzkiego istnienia nie doszedł do nas z zachodu. Olbrzymi świat, znany mi w dzieciństwie i młodości — znikł, Przestał istnieć. Jestem ostatnim człowiekiem, który żył przed epidemią i który pamięta cuda minionych czasów. My, którzyśmy ujarzmili planetę — ziemię, morza i niebo — my, którzyśmy byli jak bogowie, żyjemy teraz w pierwotnej dzikości ponad rzekami Kalifornji.

Rozmnażamy się jednak bardzo szybko.

Twoja siostra, Zajęcza Wargo, ma już czworo dzieci. Rozmnażamy się i gotujemy znowu do mozolnego wspinania ku cywilizacji Z czasem, wzrost zaludnienia zmusi nas do rozproszenia się coraz dalej po okolicy. Może setne pokolenie przejdzie już przez góry Sierra, posuwając się zwolna lecz uparcie poprzez wielki kontynent, i stopniowo kolonizując ziemię. Zacznie się nowa wędrówka Arjów poprzez świat.

Lecz powoli stawać się to będzie, powoli. Daleka jest droga na szczyt i trudna!

Upadliśmy tak beznadziejnie nisko. Gdyby był ocalał chociaż jeden fizyk lub chemik. Lecz tak się nie stało. Zapomnieliśmy wszystko. Szofer próbował obrabiać żelazo. Zrobił topór, który używamy do dzisiaj.

Był jednak człowiekiem leniwym, umierając zaś, nie pozostawił nam żadnych wiadomości o obróbce metali i budowie najprostszych narzędzi. Cóż ja mogę wiedzieć o takich rzeczach? Byłem literatem i lingwistą, nie chemikiem. Inni ocaleni ludzie nie posiadali prawie żadnego wykształcenia. Szofer odnowił tylko dwie rze-

czy starego miasta: plantowanie tytoniu i pędzenie wódki. Kiedyś, pijany do utraty przytomności — zabił Vestę. Pewien jestem, że zabił ją w przystępie pijackiego okrucieństwa, chociaż on upiera się zawsze, że Vesta wpadła do jeziora i utonęła.

Chłopcy, przyjmijcie moją radę: strzeżcie się znachorów! Sami siebie nazywają „doktorami“, nadużywając nazwy, która ongiś oznaczała szlachetny zawód. W rzeczywistości są oni kuglarzami, oszustami i pracują nod rozkrzewieniem ciemności i przesądów. Kłamią i wyzyskują. My jednak upadliśmy już tak nisko, że wierzymy w ich kłamstwa. Znachorzy są coraz liczniejsi, wkrótce owładną nami i zaczną rządzić. Ale to sami kłamcy i szarlatani. Spójrzcie na młodego Kosookiego, który udaje doktora, sprzedając środki na wszelkie choroby, na powodzenie w łowach, wymieniając obietnicę pięknej pogody na dobre mięso i ciepłe skóry, posyłając ludziom „śmiertelne znaki“ i czyniąc tysiące podobnych okropności. A ja powiadam wam, że on kłamie, Ja, profesor Smith,

profesor James Howard Smith, powiada wam, że Kosooki kłamie. Rzuciłem mu to w oczy. Czemuż nie przysłał mi znaku śmierci? Bo wie dobrze, że mnie ten znak nie zaszkodzi. Ale ty, Zajęczo Wargo, tak głęboko wsiąkłeś już w bagno przesądów, że gdybyś się obudził i znalazł przy sobie „laskę śmierci“, umarłbyś niewątpliwie. Umarłbyś jednak nie dlatego, że laska ma właściwość zabijania, ale dlatego, że jesteś mały dzikus o ciemnej, nieświadomej głowie.

„Doktorzy“ muszą być zwalczani, zaś wszystko, co zostało zapomniane, musi być wynalezione nanowo. Wobec tego posłuchajcie poważnie tego, co mówię wam w tej chwili, żebyście mogli to powtórzyć waszym dzieciom. Powtórzcie im, że jeśli rozgrzać wodę na ogniu, wypuszcza ona ze siebie cudowną rzecz, zwaną parą, która jest silniejsza, niż dziesięć tysięcy ludzi i może spełniać za człowieka większość jego prac. Istnieje też wiele innych pożytecznych mocy. W piorunach nieba ukrywa się również jeden z najpotężniejszych pomocników człowieka, który był ongiś jego

niewolnikiem i który znów kiedyś nim zostanie.

Zupełnie inną siłą jest „alfabet“. Pomaga mi zrozumieć znaczenie „druku“, tych małych znaczków, które dla was, znających tylko pismo obrazowe są niepojętymi linijkami. Tam, w suchych piwnicach Wzgórza Telegrafu, dokąd widzicie, że często chodzę, kiedy plemię jest nad morzem — pochowałem mnóstwo książek. W nich zamknięta jest wielka mądrość. Obok nich umieściłem klucz do alfabetu, aby każdy kto zna pismo obrazowe, mógł również poznać druk. Pewnego dnia ludzie znowu zaczną czytać.

I wtedy, jeśli żaden nieszczęśliwy wypadek nie spotka mojej piwnicy. ludzie będą wiedzieć, że profesor James Howard Smith żył kiedyś i mądrość przodków przechował dla potomnych.

Istniał jeszcze pewien wynalazek, który niewątpliwie ludzie dokonają raz jeszcze: proch strzelniczy. Umożliwiał nam on zabijanie na odległość. Pewne proszki znalezione w ziemi i odpowiednio zmieszane

stanowiły ów proch strzelniczy. Jak się te proszki nazywały, zapomniałem, a może nawet nie wiedziałem nigdy. Ale chciałbym dziś pamiętać i wiedzieć! Zrobiłbym proch nanowo, zabiłbym Kosookiego i uwolniłbym lud od klęski przesądów.

— Kiedy będę dorosły, oddam Kosookiemu wszystkie kozy, mięso i skóry które będę miał, żeby mnie nauczył jak mam być doktorem — oświadczył na to Hoo-Hoo. — Kiedy już zostanę doktorem, zmuszę wszystkich żeby siedzieli, milczeli i słuchali. Będą się do mnie schodzili ze wszystkich stron, zobaczysz!

Stary uroczyście pokiwał głową i zamruczał: — Jakże dziwnie jest słyszeć słowa i zdania wspaniałej mowy aryjskiej w ustach małego brudnego dzikusa, odzianego w skóry. Cały świat przewrócił się do góry nogami z chwilą wybuchu epidemii.

— Właśnie że ja wcale nie będę siedział i słuchał! — zaprotestował Zajęcza Warga przeciwko uroszczeniom przyszłego „doktora”. Jeśli ci zapłacę za posłanie komuś „Znaku śmierci”, a znak nie po-

skutkuje dostaniesz w łeb tak, że będziesz miał dosyć — słyszysz ty, Hoo-Hoo?

— Chciałbym, żeby Dziadek przypominał sobie wszystko o tym jakimś prochu strzelniczym — powiedział grzecznie i cicho Edwin — wtedy wszyscy będziecie skakać przedemną na dwóch łapkach. Ty, Zajączka Wargo będziesz wtedy walczył za mnie, ty zaś, Hoo-Hoo będziesz straszył „laską śmierci“ każdego, kogo każe. Kiedy zaś Zajączka Warga spróbuje rozbijać ci głowę. Hoo-Hoo, ukarzę go tym prochem. Dziadek nie taki głupi, jak wam się zdaje. Będę go słuchał, i pewnego dnia zostanę najsilniejszym z was wszystkich, bo będę miał mądrość.

Starowina smutnie pokiwał głową i odpowiedział: — Tak, proch wynajdziecie znowu. Nic tego nie powstrzyma. Stara historia powtórzy się raz jeszcze. Ludzie się rozmnożą, ludzie znowu zaczną walczyć. Proch umożliwi ludziom zabijanie milionów swoich bliźnich i tylko tą drogą przez krew i ogień, powstanie nowa cywilizacja, kiedyś w odległej przyszłości.

I cóż z tego? Minęła stara cywilizacja — raz jeszcze przeminie nowa. Budować się będzie może pięćdziesiąt tysięcy lat — ale przeminia napewno. Wszystko mija. Pozostaje tylko materja i energja, w wiecznym ruchu, w wiecznej akcji, reakcji i przepływie, stwarzająca wciąż od nowa trzy niezmiennie typy ludzkie: kapłana, żołnierza i króla. Z ust dzieci przemawia mądrość wieków. Jeden chce walczyć, drugi panować, trzeci znać siły tajemne. Wszyscy pozostali będą pracować w znoju i cierpieć w pokorze, na ich zaś skrwawionych trupach wyrastać będzie znowu, ciągle i bez końca wspaniałe piękno i niepojęty cud cywilizowanego życia. Jeżeli dzisiaj zniszczę moje księgi, schowane w piwnicy — nie zmieni się nic. Zginą one, czy pozostaną, wszystkie ich stare prawdy odkryte zostaną na nowo, wszystkie stare kłamstwa przeżyte i odrzucone. Czyż warto — ...

Zajęcza Warga zerwał się nagle i szybkim spojrzeniem obrzucił kozy na pastwisku i czerwone słońce popołudnia.

— He he, — mruknął do Edwina —

Stary robi się z każdym dniem nudniejszy. Pora wracać do obozu.

Dwaj pastuszkowie przy pomocy psów zganiać poczęli kozy i pognali stado w stronę lasu. Edwin został przy starcu i poprowadził go w tym samym kierunku. Kiedy doszli do starego rozstaju. Edwin zatrzymał się nagle i obejrzał wstecz. Zającza Warga, Hoo-Hoo, kozy i psy skryli się już za drzewami. Edwin patrzył na małe stadko dzikich koni, które zbiegły ze wzgórz na twardy piasek wybrzeża. Było ich ze dwadzieścia, młodych klaczy, źrebiąt i wyrostków, prowadzonych przez pięknego ogiera, który stanął w pianie na skraju fal, wygiął szyję, i toczył lśnjącymi, dziłkami oczyma, nozdrzami chwytając słoną woń oceanu.

— Co tam — zapytał Dziadek.

— Konie—oparł wnuk—Poraz pierwszy widzę je na brzegu. Widocznie lwy górskie rozmnażają się coraz bardziej i wypierają konie z lasów.

Niskie słońce rzucało czerwone strzały światła przez siwe, ciężkie zwały chmur

skłębione na widnokręgu. W białym zame-
cie bijących o brzegi wód, psy morskie,
zawodząc dzikim przedwiecznym chórem,
dźwigały się z fal na czarne, lśniące skały
by walczyć i kochać.

— Chodź Dziadku — naglił Edwin.

Starzec i chłopak dwaj barbarzyńcy
odziani w skóry, zawrócili i poszli zwolna
wzdłuż starego nasypu, lasem, śladem kóz.

KONIEC.



Thea v. Harbou

„METROPOLIS“

„METROPOLIS“ to najnowsza powieść Thei v. Harbou, znakomitej autorki „Indyjskiego Grobowca“

Walka mas z jednostką oraz jednostki z masą, oto — wielce emocjonujący problem „METROPOLIS“, tłumaczonej na wszystkie języki europejskie i przyjęty entuzjastycznie przez krytykę.

Realizacja filmowa „METROPOLIS“ genialnego twórcy „Nibelungów“ Fryderyka Langa stanowi nową epokę w kinematografii i osiąga zawrotne wyżyny techniki, jako film dnia pojutrzejszego.



(13 książek za 9 zł. 95 gr. wraz z przesyłką. Obstalowujący
 mniej, niż 13 tomików płać po 95 gr. za tomik i 20 gr. na
 koszt przesyłki).

- Awerzenko „Opowiadania cynika”.
 P. Benoit—Atlantyda 2 tomy.
 „Albertyna 2 tomy.
 „Słone jezioro 2 tomy.
 Breszko-Breszkowski—Córka Wielkiego Księcia 3 tomy.
 „Zemsta tancerki 2 tomy.
 Czechow A. „Partja winia”.
 Dupuy-Mazuel „Gracz w szachy” 2 tomy.
 Dostojewski „Zbrodnia i kara” 4 tomy.
 A. Daudet „Spowiedź królowej” (Królowie na wygnaniu) 2 tomy.
 Conan Doyle „Tragedja Koroska”.
 J. d'Esme „Dusza puszczy” 2 tomy.
 E. M. Hull. „Szeik”.
 R. Haggard „Potwór Heu-Heu” 2 tomy.
 „Kopalnie króla Salomona” 2 tomy.
 Will. B. Johnston „Kiedy mężczyźni szaleją”.
 R. Kipling „Kim” 2 tomy.
 Krzyżanowska „Eliksir życia” 2 tomy
 M. Leblanc „Wydrążona iglica” 2 tomy.
 „Arsen Lupin w walce z Sherlockiem Holmesem” 2 tomy
 J. London „Biały kiel” 2 tomy
 „Pogarda kobiet”.
 „Miłość życia”.
 „Szczerozłoty wawóz”.
 „Arcybestja”.
 „Kaftan bezpieczeństwa” 3 tomy
 „Prawo białego człowieka”.
 „Martin Eden” 4 tomy.
 „John Barleycorn” 2 tomy.
 „Wierność mężczyzny”.
 P. Merimée „Niedzwiedzie gody”.
 G. Ohnet „Precz z Napoleonem” 2 tomy.
 „Córka kapitana”.
 „Młostki carskiego huzara”.
 P. Stasiko „Jej wiosna”.
 E. Sue „Żyd wieczny tułacz” 10 tomów.
 „Tajemnice Paryża” 5 tomów.
 Wańkowicz M. „Szpital w Cichiniczach”.
 Wróblewski „Jaśnie Chamstwo 2 tomy.

Towarzystwo Wydawnicze „Rój”

Warszawa, Kredytowa 1, Konto P.K. O. 9880.

KARIN MICHAELIS

„METTA TRAP”

Tow. Wyd. „RÓJ”

Cena 7 zł.

Jest to książka, która obeszła świat, poruszając wszędzie ogół kobiecy.

Krytyka ze względu na temat i rozgłos tej książki nazywa ją „DUNSKĄ CHŁOPCZYCĄ”.

Podczas, gdy jednak w „Chłopczycy” rzesze snobek szukają łatwego rozgrzeszenia, do Karin Michaelis pielgrzymują rzesze kobiet po rozwiązanie dręczących ich pytań.

„Kobieta nie wypowiada się a rozgrycza” mówi Karin Michaelis. I książki autorki duńskiej są tem wypowiedzeniem.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

„R Ó J”

Sp. z ogr. odp.

WARSZAWA, KREDYTOWA 1.

Konto P. K. O. 9830.

OSTATNIE NOWOŚCI.

Karin Michaelis „METTA TRAP”

Powieść, która poruszyła ogół kobiecy całego świata zł. 7.—

Chesterton „OBRONA NIEDORZECZNOŚCI”

Pochwała romansu brukowego, farsy, powieści detektywnej, fałszywych ślubów i t. d. „ 4.80

St. Zweig „AMOK”

Jest to zbiór wybranych opowiadań tego najpoczytniejszego ze współczesnych pisarzy niemieckich „ 7.—

Melchior Wańkowicz „W KOŚCIOŁACH MEKSYKU”

12 arkuszy na bezdrzewnym papierze. 20 ilustracji „ 3.95

J. Ejsmond „SZTUKA WYMYŚLANIA”

Niewykwintny temat wykwinicie napisany i wydany i — psiakrew! — użyteczny . . . „ 4.80

Norbert Jacques „KUPIEC Z SZANGHAJU”

Powieść słynnego autora „Dr. Mabuze”, jest osnuta na wypadkach ostatnich lat w Szanghaju. Wysoce aktualne! 2 tomy po . . . „ 1.25

Rider Haggard „KOPALNIE KRÓLA SALOMONA”

2 tomy po „ 0.95

**Żółta 30 groszowa biblioteczka hist.-geograf. „ROJU”
znana jest każdemu kulturalnemu czytelnikowi.**

STANISŁAW BACZYŃSKI

LOSY ROMANSU

CENA 4.80

R Ó J. W A R S Z A W A 1 9 2 7.

A. CZECHOW.

PARTJA WINTA

ZAWIERA NASTĘPUJĄCE OPOWIADANIA:

SYRENA
ORDER
ROZMOWA Z PSEM
CZYTANIE
EGZAMIN URZĘDNICZY
ODESZŁA
BABSKIE SZCZĘŚCIE
ALBUM
GRUBY I CIENKI
ALEM WPADŁ...
NOC PRZED ROZPRAWĄ
SĄDOWĄ
KOCHAJĄCY BRACISZEK
GWÓŹDZ

JEDYNY ŚRODEK
PARTJA WINTA
KSIĘGA ZAŻALEŃ
ŚMIERĆ URZĘDNIKA
POOMACKU
BEZPRAWIE
DWA ROMANSE
Z NATURY
WRÓŻKI I WRÓŻBICI
DROBIAZG
PANI MARSZAŁKOWA
FATALNA WIZYTA
DWUCH W JEDNYM
WDZIĘCZNOŚĆ

Okładka barwna Norblina. Cena 95 gr.

— — KSIĄŻKA DO NABYCIA WSZĘDZIE. — —

TOW. WYD. „RÓJ“
WARSZAWA, KREDYTOWA 1.

KONTO P. K. O. 98-80.

Schraunndig 27
7/vi 7

